

KRAINY FERRINOTH



WYJĄTKI Z „DZIENNIKA TARIKA AL FARABIEGO”

rebel



iszę, te słowa do moich przyszłych synów i córek – jam jest wasz ojciec, Tarik Al Farabi. Niedługo pełniłem zaszczytną funkcję Powiernika Trzeciego Klucza do Bocznych Drzwi Niższej Komnaty Dworu Mądrości mego pana, Najznamienitszego Kalifa. Lata młodości spędziłem wśród najniższych sług Kalifa, brudząc sobie ręce ciężką pracą we wspaniałym Dworze Mądrości. Już wówczas doskonaliłem swój umysł przeciwko intrygom tych stojących wyżej ode mnie. Zawsze wypatrywałem okazji na poprawę swego losu i piąłem się po pierwszych szczeblach kariery, często kosztem mniej utalentowanych sług Kalifa, niech Wielkie Śłońce zawsze spogląda na mnie przychylnie. I tak, w miarę, jak rozszerzały się moje wpływy, rosły również rzesze sług tępych i matostkowych, których zostawiałem za sobą.

W końcu, za sprawą szeregu przedziwnych zbiegów okoliczności, wszedłem w posiadanie informacji wskazującej na poważne uchybienie Alego Ibn al-Nafisa, Powiernika Pierwszego Klucza do Drzwi Śłońca Wysokiej Komnaty. Moje poczucie obowiązku wobec Kalifa, niechaj mleko szczęścia splywa na niego każdego dnia jego długiego i błogostawionego życia, nie pozwalało, by tak nikczemny szkodnik pozostał na tak zaszczytnym stanowisku. Przekazałem zatem zdobytą informację mojemu znajomemu imieniem Zakaria Zaybag, który służył jako nisko urodzony odźwierny Wielkiej Weziry.

W przeszłości wykonałem dla Zakariego kilka drobnych usług, zatem musiał mnie przynajmniej wysłuchać. Możecie sobie wyobrazić, jak zaskoczony byłem, moje nienarodzone jeszcze dzieci, gdy zamiast do ciasnej izdebki Zaybaga zostałem wezwany do komnat samej Wielkiej Weziry!

Wielka Weziry przeszła mnie spojrzeniem, skinęła głową, i gestem kościstej dłoni kazała iść za sobą. Ku memu bezbrzeżnemu zdziwieniu zaprowadziła mnie do prywatnej sali audiencyjnej samego Kalifa.

Gdy znalazłem się w obecności Kalifa, me nogi ostaby, padłem

Myszę, że podobny widok ma błogostawione ptactwo na najwspanialszy Dwór Mądrości jasnie oświetlonego Kalifa, choć szczerze mówiąc, nie byłoby dobrze pamiętać teraz wygląd tego miejsca.

na kolana przed moim władcą, i ukorzyłem się, w jedynie słuszny i właściwy sposób, dotykając czołem chłodnej, kamiennej posadzki.

- Wstań. - O, moje dzieci, nigdy, przenigdy nie opisałbym miódopłynnego głosu Kalifa jako warknięcia, aczkolwiek polecenie miało w sobie odrobinę takiego tonu.

- To on? - Usta Kalifa wydeły się dziwnie i niepokojąco, gdy zwrócił się do Wielkiej Weziry. Natychmiast skinęła głową.

- Tak, o święty.

Wyglądało na to, że Kalif raczej nie okazywać mi podziwu i szacunku, na który skrycie liczyłem.

- A zatem uważasz się za zręcznego intryganta?

Z tonu tego wielkiego człowieka mogłem wnioskować, że nie było to najpochlebniejsze z określeń. Należy jednak pamiętać, że każde słowo ma tyle znaczeń, ilu ludzi znajduje się w komnacie. Pokłoniłem się, nisko potomkowi wielkiego Boga Śłońca, a potem najwyższym wysiłkiem woli podniosłem na niego spojrzenie jasne i pewne.

- Jeżeli Wasza Wysokość - powiedziałem jak najspokojniej - przez intryganta rozumie człowieka, który snuje w ciemności skryte plany, a każdą cudzą niedolę

stara się obrócić w korzyść dla siebie, człowieka bez poczucia szacunku i odpowiedzialności, to nie, nie mogę mienić się intrygantem. – Siwe, kręczaste brwi wielkiego człowieka uniosły się, a ja wyczułem, że mogłem go rozżłoczyć odpowiedzią, więc pospiesznie kontynuowałem. – Lecz jeżeli Wasza Wysokość ma na myśli człowieka, który każda swą myśl poświęca dobru tej krainy, który pragnie wykorzystać wszystkie swe umiejętności przeciwko wrogom swego pana i władcy, który nie jest w stanie znieść zdrady i niewiarygodności toczącej niczym wrzód serce Dworu Mądrości ze szkoda dla Wielkiego Kalifa, niech A'tar i wszyscy dzinnowie błogostamią mu w każdym przedsięwzięciu, to tak, Wasza Wysokość, uważam się za intryganta.

Moje słowa wędrowały długą i krętą drogą, aż w końcu najwyraźniej trafiły na coś, co Kalif uznał za zabawne, a ja w nagrodę dostrzegłem, jak jego ciemne, stare oczy rozjaśniają się, z rozbawienia.

– Trzeba mu przyznać, jest bystry. – Kalif skinął głową do Wielkiej Wezyry, odwrócił się i zaczął powoli wchodzić po stopniach podwyższenia z tronem. – Pokaż mu.

Słowa te, pozornie zupełnie zwyczajne, zdawały się obciążone jakimś mrocznym, złowrogim znaczeniem.

Gdy Kalif zasiadł już na swym złotym tronie, mój wzrok skierował się ku Wielkiej Wezyrze, która wyciągnęła coś z sakiewki przytwierdzonej u pasa.

W migoczącym świetle lampy ukazał się błyszczący kamień o głębokim, fascynującym odcieniu błękitu. Klejnot zdawał się świecić własnym, wewnętrznym blaskiem. Gdy tylko padł na niego mój wzrok, zrozumiałem, że oglądam jakiś potężny obiekt, brzemienny ciężarem fatum.

– Rozpoznajesz ten kamień? – Upiętna chwila, nim wyzwoliłem się spod hipnotyzującej mocy klejnotu, i kolejna, nim usłowiłem sobie, że Kalif zwraca się do mnie. Spojrzałem na niego, a on znów przeszył mnie wzrokiem, który zdawał się wyrażać mniej szacunku, niż bym sobie tego życzył.

– Widziałeś już kiedyś taki kamień? – Kalif powtórzył pytanie wolniej, jak gdyby mówił do dziecka, a ja poczułem, że moja dusza kurczy się w sobie.

Raz jeszcze podniosłem wzrok na skarb podtrzymywany delikatnie przez długie i zwinnie palce Wielkiej Wezyry. Klejnot zdawał się wydzielać ciepło niczym zwykły kamień na pustyni w południe. A jednak płonął chłodnym, niebieskim blaskiem, w którego poświęcie skapana była twarz kobiety.

– Nigdy dotąd nie było mi dane oglądać takiej cudowności, mój chwalebny władco. – Znowu się pokłoniłem.

– Zdziwiłbym się, gdybyś go rozpoznał. Wpadł niedawno w ręce przewodniczki karawany przemierzającej Pustkowie Faruun. Według jej słów piaski pustyni znacznie się ostatnio cofnęły. Kamień znaleziono właśnie na nowo odkrytym terenie.

Na te słowa Wielka Wezyra obeszła mnie łukiem i wspięła się po stopniach tronu, aby stanąć u boku naszego pana i władcy. Klejnot skapał oboje w szafirowym blasku.

– Kamień nabył następnie jeden z pomniejszych wezyrów, a całe zastępy uczonych, historyków i pochlebców okazały się niewystarczające, by rozwiązać jego zagadkę. – Oblicze Kalifa się zachmurzyło. – Ci durnie z Kolegium Sztuk Tajemnych zapewniają mnie, że zawiera on niemal niewyczerpane źródło mocy, ale nie mają pojęcia, jaka jest jej natura ani jak mógłbym z niego zaczerpnąć.

Potężny głos Kalifa złagodniał, gdy władca zapatrzył się w głąb kamienia, a w jego oczach zatańczyły błękitne iskry.

– Na północy krąży legenda, Powierniku. Opowieści o potężnych kamieniach zdolnych uczynić zwykłego śmiertelnika królem, a nawet bogiem. – Na to ostatnie słowo zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. – W najstarszych zapisach przechowywanych w Pierwszej Akademii mowa jest o zbiorze takich klejnotów, które zostały rozproszone po całym świecie, a potem zniknęły. Zapiski mówią, że wszystkie przepadły, bo smoki pokruszyły je na kawałki albo stało się coś podobnie głupiego.

Kalif nie odrywał już wzroku od klejnotu. W niewielkiej komnacie zapadła ciężka, przeciągająca się cisza. Gdy w końcu się poruszył, obrócił się w moją stronę, trzęsąc się, jakby z wielkiego wysiłku.

- Potrzebuję kogoś, kto wyruszy na północ przez morze. Kogoś, kto odkryje tajemnice tego kamienia i przyniesie mi klucz do jego mocy. - Po tych słowach odwrócił się, jak gdyby nie mógł się powstrzymać, aby jeszcze raz spojrzeć na klejnot, a następnie wyszeptał nabożnie: - Klucz do bram niebios.

W ten oto sposób objawiła się moja przyszłość. Najpokorniejszy i najwierniejszy sługa potężnego Kalifa Al-Kalimu, niech zawsze przyświeca mu światło mądrości, miał zostać wystany na północ z niemożliwą do spełnienia misją. Na północ, do krain zamieszkałych przez lekkomyślnych poszukiwaczy przygód i przebiegłych szarlatanów, gdzie powietrze jest podobno tak zimne, że wysysa człowiekowi życie z płuc, a lód spada z nieba niczym piasek po pustynnej burzy.

- Nie miej mnie za niewdzięcznika. - Kalif podjął w końcu wątek. Uśmiech, który wkradł się na jego wargi, w połączeniu z nieugiętością spojrzenia dodawał mi niewiele otuchy. - Gdyby ktokolwiek zdołał wrócić do Al-Kalimu, będąc w posiadaniu wiedzy o sekretach tego kamienia, moja wdzięczność nie znalazłaby granic.

Taka oferta może wiele znaczyć, gdy pada z ust takiego człowieka. Jednak poza grozą Północy istniał jeszcze pewien aspekt owego przedsięwzięcia, który przykuł mą uwagę.

- O, Wielki Kalifie, oby wszystkie moce niebios spłynęły na ciebie i przyniosły ci pokój, czy twój pokorny sługa może mieć jedną prośbę, która pomoże mu w poszukiwaniach, nim jego sandały pokryją się kurzem zamorskich dróg?

Mój władca spojrział na mnie, unosząc w górę jedną majestatyczną brew, i wskazał gestem, że mam kontynuować.

- Wasza najszlachetniejsza i najdostojniejsza wysokość. - Moje myśli pedziły we wszystkich kierunkach, a serce tłukło się jak oszalone ze strachu przed tym, co miało nadejść. - Panie mój, czy zezwolisz mi zabrać ów tajemniczy klejnot na północ, bym miał coś do pokazania, prosząc tamtejszych barbarzyńców o pomoc?

Jeszcze słowa te nie opuściły moich ust, a już wiedziałem, że to szalenstwo. Kalif, silny wśród siłaczy, mądry wśród mędrców i przenikliwy wśród najbystrzejszych umysłów

Al-Kalimu, nigdy nie pozwoliłby, aby taki skarb znalazł się w rękach Powiernika. Takie klejnoty przeznaczone są wyłącznie dla możnych tego świata. I choć wiedziałem, że pewnego dnia dotacze do tego wyniosłego grona, zdawałem sobie również sprawę, że dla Kalifa przyszłość ta nie była wtedy oczywista.

Cień na obliczu mego pana pogłębił się. Niczego wcześniej w życiu nie bałem się tak bardzo, jak słów, które miałem za chwilę usłyszeć.

A potem mój pan wybuchnął śmiechem.

Wielka Wezyra podzielała jego wesołość. Minęła dłuższa chwila, nim obie dostojne osobistości doszły do siebie.

- Daj mu to, co mu się należy, i poslij go w drogę. - Kalif odwrócił się ode mnie, a ja odniosłem przedziwne wrażenie, że nigdy więcej go nie zobaczę. Spojrzałem na doradczynię mego pana i dostrzegłem w jej rękach ciężką sakiewkę z miękkiego aksamitu w kolorze piasku. Zabrzęczała kusząco i wiedziałem od razu, że musi się tam znajdować jakaś bajeczna suma.

- Udasz się z tym na północ, Powierniku, i dowiesz się wszystkiego, na co tylko pozwolą ci rozum i odwaga. Lecz wiedz jedno: Kalif ma swe sługi w każdym cieniu. Jeżeli go zdradzisz, zostaniesz wytropiony i zawleczony w tańcach z powrotem do Dworu Mądrości. Twój marny koniec będzie długa, bolesna i pouczająca opowieścią, która uchroni całe pokolenia przyszłych sług Kalifa przed podobnym błędem.

Mieszek był ciężki, lecz jej słowa ważyły więcej. Z patacu wyprowadził mnie jakiś pomniejszony dworak. Zostawiłem za sobą wielkich ludzi pogrążonych w myślach dotyczących najważniejszych spraw królestwa.

Wróciłem do swej niewielkiej izdebki, usiadłem na wąskim łóżku i, z tobotkiem w rękę, rozważałem swoje możliwości. Nie będę was okłamywać - nęcający wydał mi się pomysł zostawienia monet i ucieczki na pustynię, by zacząć żyć na własną rękę i stworzyć dla siebie nowe przeznaczenie. Może, gdybym nie zabrał ze sobą otrzymanych pieniędzy, nikt nie zwróciłby uwagi na moje zniknięcie?

Ale Północ?

Terrinoth i ziemie leżące za wielkim, północnym morzem nie mają najlepszej opinii w opowieściach krążących po Al-Kalimie. To barbarzyńska kraina rządzona przez prostackie kreatury, które nie znają wyrafinowania i dobrodziejstw cywilizacji. Pochłoneńca największego stratega, jakiego kiedykolwiek wydało nasze królestwo, i zmieniła go w pustą skorupę pełną okrucieństwa i podstępnych kłamstw.

Albowiem w Al-Kalimie wciąż pamiętamy prawdziwego Waiğara. Waiğara Niezwycięzonego. Waiğara Śmiatego. Waiğara ibn Neshar al-Bagawada, którego wyczyny, nim jeszcze przebył północne wody, mogłyby uzasadnić jego wymyślenie na wieki wieków. O jego armii złożonej z doborowych żołnierzy, Akolitów, wciąż wspomina się tu z podziwem i szacunkiem. Nie dajemy wiary godnym pozatowania opowiastkom głupców i kłamców, które dotarły do nas z Północy.

Nie wiem, jak długo siedziałem na twardym postaniu targany wątpliwościami i torturowany przez moje własne, mroczne wyobrażenia. Musiała być jednak późna noc, gdy delikatne pukanie do drzwi przerwało moje rozmyślenia. Kiedy usiłowałem wstać, moje ciało okazało się sztywne i obolate. W końcu zrezygnowałem z prób i zaprosiłem mego gościa do środka.

Nie znałem go, ale z jego szat mogłem wnioskować, że był dworzanicinem Kalifa. Mężczyzna wyglądał na zdenerwowanego i rzucił ukradkowe spojrzenia na pogrążony w mroku korytarz, ścisnąc w dłoni niewielką torbę.

- Przybywam od Kalifa, niech kwiaty rozkwitają zawsze pod jego stopami. - Mężczyzna skinął głową, nie czyniąc nic, by rozwiać narastające w moim umyśle wątpliwości. - Jego wysokość raczył zgodzić się z twoją oceną sytuacji.

Zamartem zdezorientowany i oniemiały, a wystraszone dotychczas oblicze mężczyzny wykrzywiło się, na mgnienie oka w grymasie irytacji. Wyciągnął do mnie torbę.

- Klejnot. Musisz wziąć go ze sobą.

Chwilowy przypyły radości natychmiast utonął w suchym oceanie podejrzeń. Skinąłem głową i zmusiłem obolate członki do podniesienia się z postania.

- Natychmiast udam się do Kalifa, aby podziękować mu za zmianę zdania. Nie wątpię, że...

- Nie! - Oczy mężczyzny rozbiły się strachem. - Jego Wysokość Kalif śle ci błogosławieństwo wraz z tym podarkiem. Pragnie, byś natychmiast wyruszył na północ.

W górę, mego gardła zaczął pełznąć palący strach i odsunąłem się, od przybyścia, gdy ponownie wyciągnął do mnie rękę.

- Musisz opuścić dwór przed świtem. Kalif życzy sobie, abyś dyskretnie przebył Pola Urodzaju i wsiadł na statek w Zatoce Rzezimieszków. Niech nikt nie wie, że działasz na jego rozkaz.

Jego słowa stawały się coraz bardziej niewiarygodne. Dlaczego mój władca miałby mnie wysłać do leża piratów z jednym ze swoich najcenniejszych skarbów?

- Powiniennem pomówić z Kalifem. - Próbowałem przepchnąć się obok mężczyzny, unikając torby, jakby siedział w niej pustynny skorpion, lecz on zatrzymał mnie i wcisnął mi ją w dłoń, wykorzystując me zaskoczenie.

- Nie. Bez zwłoki wyruszysz na północ. - Wciąż się bał, lecz teraz w jego głosie usłyszałem też zimną determinację.

Wtedy właśnie zauważyłem, że korytarz wcale nie jest pusty. Czekający tam wojownicy nosili ciemne zbroje, a ich stalowe hełmy owinięte były szarobrazową tkaniną. W mroku pobłyskiwały dobyte bułaty.

Zrozumiałem, że jeszcze przed świtem wyruszę w drogę z klejnotem.

Galopowałem już w chłodzie pustynnej nocy, a światła Dworu Mądrości znikły za moimi plecami, gdy zdałem sobie sprawę, że żołnierze, którzy po mnie przyszli, nie nosili wcale barw Kalifa, lecz jednego z jego dalekich i zwaśnionych z nim kuzynów - Abdullaha al-Qaswaniego.

Świetlisty kamień, za sprawą którego wyruszyłem w zdającą się nie mieć końca podróż po zamorskich krainach przekraczających moje wszelkie wyobrażenia.





daleka był to wspaniały widok. Rezydencje, pomniki i świątynie wznosiły się majestatycznie nad uporządkowanym horyzontem dachów, tworząc poszarpaną panoramę na tle wschodzącego słońca. Lecz gdy droga zanurzyła się w płytkiej dolinie wiodącej ku miastu, odniosłem wrażenie, że coś tu nie pasuje – że złudzenie wywołane odległością i perspektywą zniekształca moje postrzeganie skali tego, co musiało z pewnością, być ogromną i żywą aglomeracją.

Spodziewałem się zobaczyć na drodze do miasta gwarne szpaler podróżnych, choć teraz, patrząc na te słowa, nie wiem, skąd mieliby przybyć, tak rozległe i opustoszałe byłyby ziemie za moimi plecami. Zamiast tego droga ciągnąca się przede mną była tak pusta, jak szlaki, które pozostawiłem za sobą.

Zachęciłem Ibona, mego wierzchowca, do zwałowego wspinania się po łagodnym zboczu i obserwowałem, jak rośnie przed nami szaro-białe miasto. Oczywiście nie mogło się równać z eleganckimi murami i strzelistymi minaretami wspaniałego miasta mego Kalifa, ale pomimo niewyrafinowanej architektury i ponurych, zimnych barw kamienia budziło swoisty respekt ze względu na otaczającą je aurę barbarzyńskiej sily i okazałości.

W miarę, jak się zbliżaliśmy, narastało we mnie poczucie, że coś nie jest tak, jak być powinno. Pomimo wyniosłych monumentów i rezydencji, które wznosiły się w obrębie wielkich murów, samo miasto zdawało się kurczyć. To, co rozrosło się w moim umyśle do wielkich rozmiarów w ciągu długich tygodni podróży, teraz malowało w oczach.

Miasto Archaut, jak je teraz widziałem, byłoby kartem w porównaniu z dowolnym z wielkich miast Al-Kalimu. Sam kompleks pałacowy Kalifa w Dworze Mądrości zajętby większą część tego niewielkiego miasta, które zdaje się wręcz przytłoczone poczuciem własnego znaczenia.

Nad wielką bramą górował pusty posterunek strażniczy. W obrębie murów znajdowało się więcej ludzi, niż zdarzyło mi się spotkać od czasu przybycia do tej osobliwej krainy, ale i tak zdawali się mali i niezliczeni we wszechogarniającej pustce. Raczej pogłębiali panującą wokół nich ciszę, niż wypełniali ją gwarem. I tutaj również spoglądali na mnie podejrzliwie, po czym szybko odwracali wzrok, nie chcąc patrzeć mi w oczy.

Nie uległo wątpliwości, że miasto przeznaczone było dla liczby mieszkańców wielokrotnie większej niż ta garstka, która snuła się teraz po jego szerokich, wysadzanych drzewami alejach, a ja znów zadumałem się nad słowami starego kapitana Białobrodęgo. Jeżeli to była ta wspaniała stolica daqańskich baronów, potężnych władców tej rozległej krainy, to gdzie oni się podziwiali?

Opanowałem już tutejszą, wspólną mowę, w stopniu pozwalającym przynajmniej na zapytanie o drogę do pałacu. Jednak gdy w końcu dotarłem na miejsce, oczom moim ukazał się pusty budynek. Jego imponująca bryła sugerowała władzę i dominację, ale ciemne okna dawały dobitne świadectwo opuszczenia i rozkładu.

Wśród przypadkowej gawiedzi znalazłem licznych urzędników. Zwykle łatwo ich rozpoznać, gdyż noszą wyszukane uniformy i mają wypisany na twarzach wyraz catkowitzkiej bezużyteczności. Niestety ze względu na słabe opanowanie języka i wrodzoną pogardę dla biurokracji (trudną do utrzymania w ryzach w obliczu nadętych głupców) wiedza, którą od nich uzyskałem, była dla mnie bezwartościowa.

Wędrowałem tak przez cały dzień ulicami miasta. Zdawało mi się, że co kilka kroków natykam się na kolejny pamiątkowy plac, pomnik lub ogromny, piętrowy monument ku czci minionej chwaty. Często pojawiały się na nich tematy dawnych bitew, doniosłych aktów miłosierdzia i wielkich wyrzeczeń. Każdy z pomników wyrzeźbiony był w ciemnoszarym kamieniu charakterystycznym dla tego zakątka świata i każdy kolejny – czy to fontanna tryskająca ku niebu wachlarzami krystalicznie czystej wody, czy powiewający proporzec trzymany w sztywnych, kamiennych dłoniach, czy też wypielegnowany trawnik z sinymi, wypalonymi zimną roślinami – wydawał się bardziej martwy i chylący się ku upadkowi niż poprzedni.

A jednak w spoteczeństwie, które tak odważnie wystawiło te monumenty na widok publiczny, tliła się wciąż cicha sila pozbawiona nadziei. Zadumałem się nad ogromem tragedii leżącej u podstaw cywilizacji starej jak moja własna, lecz tak nekanej przez nieszczęścia i klęski, że stała się niewiele lepsza od odzianych w łachmany barbarzyńców z Wybrzeża Żłodzi. Współczułem snującym się wokół mnie nieszczęśnikom,

w większości odizolowanym od spraw tego świata kokonem z własnych nieszczęść tak szczelnie, jak poszarpanymi płaszczami, którymi owijali się, by chronić się przed mrozem. Współczucie to mieszało się jednak z podziwem. Przewyższali mnie bowiem pod jednym względem, który objawił mi się dopiero tego dnia.

Bogactwo zapachów, z jakimi zetknąłem się od chwili zejścia z pokładu Wilczego Wzroku, statku kapitana Nazrata, bezustannie zaskakiwało mój wrażliwy zmysł powonienia. Będąc przyzwyczajonym do suchego i czystego powietrza mej ojczyzny i spędziwszy całe życie na wędrówkach po pustyniach i czystych ulicach, byłem niezmiernie oszołomiony różnorodnością doznań zapachowych, które czekały na mnie na każdym kroku.

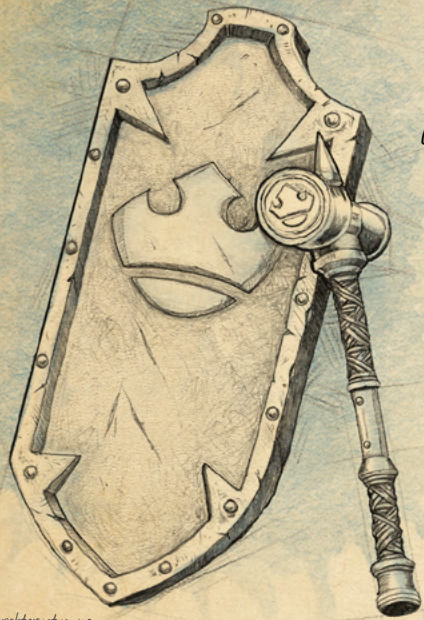
Zimne pomniki, na ten przykład, pachniały mi wilgocią i izolacją, jak gdyby ludzkie oczy od tysiąca lat nie pieściły ich wspaniałych sylwetek i drobnych detali. Jak gdyby wilgoć zawarta w powietrzu przeniknęła do wnętrza kamienia. Czasem wyciągałem dłoń, by dotykać tych zimnych brył, i dziwiłem się, gdy okazywały się suche.

Ulice miasta przypuszczały szczególnie agresywny atak na moje wrażliwe nozdrza. Nawet w najuboższych dzielnicach Dworu Mądrości śmieci pozostawione na ulicach w ciągu kilku dni całkowicie wysychały, tworząc nieruchome i bezwonne stosy. Na prawie bezludnych alejkach Archaut było zgoła inaczej. Przyznam się wam, synowie i córki, że byłem wielce zaintrygowany tym, że miasto tak dalece pozbawione mieszkańców może produkować taką ilość psujących powietrze odpadów.

A jednak smród zdawał się, nawet w najmniejszym stopniu nie przeszkadzać tym nielicznym zjawom snującym się po pustych ulicach.

W końcu głód wziął górę nad ciągłymi, dokuczliwymi mdościami wywołanymi przez wszędobylski odór i zamierzałem zasiąść do posittku w niewielkiej tawernie, która zaczęła się wypełniać wraz z nadejściem południa. Zostawiwszy Iba w niewielkiej stajni po drugiej stronie ulicy, otworzyłem drzwi lokalu. Przygotowałem się na fale przykrych zapachów, lecz ku mojemu zaskoczeniu otoczył mnie przyjemny aromat pieczonego mięsa, który w jednej chwili odpędził wonie ulicy i wciągnął mnie do środka przez ciemne wejście. Strawa okazała się niewyszukana nawet jak na mój skromny gust, lecz smaczna i sycąca. Positek zawierał mięso, prawdopodobnie wołowinę, lub wieprzowinę, choć szczerze mówiąc, nie starałem się ustalić, co to było. Do tego podano solidną porcję tłuczonych bulw, a cały talerz zalano gęstym sosem, który zdawał się otulać positek i wzmacniać organizm przed konfrontacją z panującym na zewnątrz chłodem.

Piętne, kamienne mury miejskie.
Przy każdej ulicy stały coraz to okazałsze posagi i pomniki.



Charakterystyczna tarcza i młot strażnicy miejskiej. Na szczęście nie zostały użyte przeciwko mnie podczas moich podróży.

Udało mi się pomówić z kilkoma obywatelami, którzy z jakichś powodów byli bardziej skłonni do rozmowy z obcokrajowcem pochodzącym z dalekiego i egzotycznego kraju. Dzięki ich rozmowności dowiedziałem się, kto naprawdę rządzi tą krainą. Wyglądało na to, że daqańscy lordowie zamieszkują na stałe

w swych odległych włościach, dzierżąc

niemal autonomiczną władzę nad poszczególnymi regionami i rzadko opuszczają swoje prowincjonalne warownie.

Ku memu rozczarowaniu i rozgoryczeniu dowiedziałem się, że ta pusta skorupa miasta pozostaje niemal bezludna przez większą część roku. Wyjątkiem jest okres, kiedy owi potężni władcy zjeżdżają się tu w orszakach złożonych z dworzan, krewnych oraz niezliczonych i niezmiennie bezużytecznych pieczeniarzy. Biorą udział w dorocznej naradzie, a także przeżądają się i pływają w tańcu określającym ich wieczną zmienną hierarchię. Przedstawiciele arystokracji mogą pochodzić z odległych krain, mówić niezrozumiałymi językami i praktykować niepojęte zwyczaje, ale zawsze i wszędzie będą postępować tak samo.

Wydało mi się to straszliwie chaotycznym sposobem sprawowania rządów, ale jestem tu z dala od domu, a to miejsce nie jest mi bardziej obce niż inne krainy, które odwiedziłem, odkąd zostawiłem za sobą czyste piaski pustyni.

Jeden z towarzyszących mi przy stole miejscowych napomknął, że w pobliżu centrum Archaut znajduje się wielki, kanciasty gmach zwany po prostu Cytadela. Na chwilę rozbłysnął dla mnie promyk nadziei. W Al-Kalimie każda tak potężna budowla byłaby miejscem wielkiej mądrości i władzy. Bez wątpliwości znajdę tam kogoś, kto będzie w stanie opowiedzieć mi historię dziwnego kamienia, który mam przy sobie. A może przynajmniej dowiem się, gdzie takowej wiedzy szukać?

Niestety promyk ów, podobnie jak wszystkie inne, które rozbłysły dla mnie podczas tej nieszczęsnej podróży, miał szybko zagasnąć. Gdy po południu zobaczyłem na własne oczy tę brzydka, przysadzista fortece, moje ramiona ugięły się pod ciężarem złego przeczucia. Nie było wątpliwości, że jest to twierdza. Nie miała szczegółowych ornamentów i zbyt wyszukanego stylu, którymi charakteryzowały się pozostałe miejskie gmachy. Była to – jak podpowiadało mi serce – budowla pełniąca funkcje ściśle obronne. Gdy dotarłem do wielkiej bramy głównej, strażnicy odziani w misternie wykonane zbroje przywitani mnie grobową ciszą. No cóż, tutaj przynajmniej wystawiono wartowników.

Zebrał się tam ignorowany przez strażę tłumek złożony z godnych pozatowania ludzi, którzy słabymi głosami domagali się wpuszczenia do środka. Była to bez wątpienia największa grupa, jaką widziałem od czasu opuszczenia pirackiej przystani w Zatoczce Karyi, ale mimo swej liczebności byli strachliwi jak pracujący na polach chłopci. Żołnierze nie zwracali na nich uwagi, nie odpowiedział im też nikt ze środka. Zgromadzona cizba łamiącymi się głosami domagała się ochrony przed rzekomym wielkim złem nadciągającym z północy. Ustyszałem nazwę „Kraina Mgieł” i po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Kierując się przeczuciem, zapytałem mężczyznę trzymającego się z tyłu grupy, czy tym, kto im zagraża, jest legendarny Waiggar. Gdy usłyszał to imię, zbladł i zachwiał się, jakby na moich oczach miał paść na apopleksję. Również ludzie po obu jego stronach wpatrywali się we mnie z przerażeniem w oczach.

W końcu pozostawiłem nieszczęśników ich pozornie beznadziejnej sprawie, radując się skrycie, że to konkretne pytanie pozostało bez odpowiedzi. W moim kraju Waiggar został zapamiętany jako wielki bohater, ale tutaj, w krainach po drugiej stronie morza, wylanił mi się, inny jego obraz.

Odszedłem od Cytadeli, nie zyskawszy ani okruszka wiedzy, i postanowiłem odpocząć przy jednym z wyniosłych pomników, którego fontanny wyglądały na suche od wielu lat. W oddali zobaczyłem kilku wojowników, których jeden z zapytanych przechodniów nazwał Protektorami i wypowiedział tę nazwę w taki sposób, że na pewno należy zapisać ją wielką literą. Kim byli owi Protektorzy

i komu służyli? Tego nie wiem. Przechadzali się dumnie i zdecydowanie, nie okazując ani krztu strachu, którym najwyraźniej zakazani byli ich rodacy. To wystarczyło, by wzbudzić moją ciekawość. Nie wiedziałem jednak, jak mogliby mi pomóc w moim obecnym położeniu, więc odwróciłem się od nich niechętnie i ruszyłem w dalszą drogę.

Myslałem, że znajdzie tu akademie mistyczne podobne do tych działających w Dworze Mądrości. Zakładałem bowiem, że to właśnie w przybytkach wiedzy magicznej dowiem się czegoś więcej o kamieniu, który zawładnął bez reszty moim życiem. A gdzie szukać takich szkół, jeśli nie we wschodniej stolicy największego królestwa po tej stronie morza?

Tego wieczoru, pozostawiając Iba w stajni po drugiej stronie ulicy za wygórowaną sumę, wszedłem do wspólnej izby cackiem przywoitego zajazdu. Wyglądało na to, że brak gości nie wpłynął na ceny za nocleg naliczane przez właścicieli tego typu przybytków w Archaut. Witające mnie zapachy nie były tak przyjemne, jak te, które towarzyszyły mi podczas wcześniejszego posittku, i natychmiast zorientowałem się, że znajduje się w miejscu innego sortu.

Ponownie dostrzegłem uważne, zaleknione spojrzenia i przez pewien czas siedziałem po prostu w ciemnym kącie izby, popijając paskudne lokalne piwo i bez entuzjazmu kosztując mdłego, papkowatego gulaszu, który był jedynym daniem serwowanym tu na wieczór. Z rozrzewnieniem wróciłem wspomnieniami do obiadu, patrząc jak galaretowata breja spada z tyżki do miski i półuchem słuchając toczących się wokół mnie rozmów.

Raz jeszcze wyłowilem ze zgiętku nazwę „Kraina Mgieł”, a także wzmianki o innym miejscu, położonym prawdopodobnie na wschodzie, zwanym chyba Równiną Run albo Ruin. Wyglądało na to, że oba regiony są odpowiedzialne za błady strach, jaki padł na tę krainę. Mam zatem nadzieję, że droga, którą muszę jeszcze przebyć, nie zamiećcie mnie zbyt daleko ani na północ, ani na wschód. Dość mam teraz własnych problemów. Nie mam najmniejszego zamiaru mierzyć się z zagrożeniem, które sprawiło, że całe królestwo skamieniało ze zgrozy.

Usiłowałem sobie przypomnieć słowa zastyszane od osób napotkanych po opuszczeniu Dworu Mądrości (tak dawno temu!) i odtworzyć ścieżkę, która zawiiodła mnie do tak bezowocnego celu. Wspominałem Marcusa Phindara, niegdyś z Lorimoru, teraz z Torue Albes, który nazwał to miejsce miastem pomników, a ja zrównałem je w myślach ze stolicą Kalifatu. Pelen zapatu i chcący jak najlepiej wywiązać się z powierzonego mi zadania pomyślałem, że to najlepsze miejsce do rozpoczęcia poszukiwań w tej dziwnej krainie. Ale ta zimna skorupa nie ma mi do zaoferowania nic poza strachem i ciszą, którymi naznaczone były już liczne dni mojej podróży.

W końcu, nie dowiedziawszy się nic, czego bym wcześniej nie wiedział, i zmęczony doskonaleniem wspólnej mowy Terrinoth, udałem się na piętro i położyłem na zimnym postaniu. Tutaj zamierzam ukończyć najnowszy zapis dla was, moje dzieci, a następnie w ciszy zastanowić się nad moimi dalszymi poczynaniami. Jest oczywiście, że Archaut nie ma mi nic do zaoferowania, a wzięwszy pod uwagę wysokość opłat pobieranych w pustej stolicy i brak sposobów na ich uniknięcie, jeżeli tu pozostanę, kiesa Kalifa opróżni się szybciej, niżbym sobie tego życzył.

Jutro podejmę jeszcze jedną próbę odnalezienia tych nieuchwytnych szkół magii, które wyobraziłem sobie na podstawie tego, co usłyszałem w miasteczku Trelton i Zatoczce Karyi, a następnie zmuszony będę ruszać dalej.

Gdzieś w tym zimnym, kamiennym labiryncie posągów muszą kryć się jakieś uczelnie podobne do Kolegium Sztuk Tajemnych mego Kalifa! Gdy baronowie zjeżdżają się już do tego bezdusznego zbioru bezcelowych posągów i pustych pałaców, czyż nie doradzają im najświetlejsze z umystów Terrinoth? A gdy ci wielcy władcy przenoszą się do swych małych państewek, gdzie podziewają się owi mędrcy?

Musi gdzieś tu istnieć jakaś szkoła, akademie czy siedziba gildii, w której spędzają czas, dopóki ich mocodawcy nie zajądają ponownie ich usług!

Muszę tylko dowiedzieć się, gdzie jej szukać...



Na stokach odległych wzgórz widać było ślady upraw, lecz do drogi przylegały tylko sploty gęstego lasu i potacie pustej prerii. Tu i ówdzie zieleni znaczyły ślady starożytnych budowli – jak wszędzie w tej zapomnianej przez los krainie. Z cieni między drzewami rosnącymi po obu stronach drogi spoglądały na nas pustymi oczyma nadgryzione zębem czasu posagi i ruiny oplecione bluszczem.

Przemierzaliśmy okolice, która mimo pozornej ciszy i spokoju otaczała nas przytłaczającą aurą tragedii i klęski.

Gdy zbliżyliśmy się do kolejnego celu podróży, stało się jasne, że Szara Przystań nie różni się szczególnie od pozostałych dużych miast, które dane mi było odwiedzić. Architektura jest tu może trochę bardziej monumentalna, niż spodziewałbym się, na takiej prowincji; ku niebu wznosi się wiele okazałych i ozdobnych budowli przeczącących zarówno prawom grawitacji, jak i zasadom urbanistyki.

Miasto nie ma za to murów i zdaje się być zdane na łaskę i niełaskę każdej bandy szubrawców, która zapuściłaby się w te strony. Jednak przechadzając się po ulicach Szarej Przystani, poczułem, że być może mur nie jest tutaj konieczny, by przepędzić nawet liczną zgraję złoczyńców. Szara Przystań to tętniące życiem centrum nauki i handlu. Na ulicach roito się od przeróżnych ludzi z wszystkich stanów, od chłopów zbiegłych z folwarków aż po wyniosłych arystokratów.

Dokądkolwiek się udałem, wszędzie dostrzegałem uczonych, którzy ściskali w dłoniach opaste tomy, zwoje lub torby z dokumentami. Niemał każda alejka pełna była jadłodajni, tawern i kawiarni, a także salonów, akademii i instytucji, których szylidy obwieszczają, że wewnątrz urzędują mistrzowie wszystkich dziedzin nauk pod słońcem wielkiego A'Tara. Były tam również sklepy, które zdawały się zaspakajać każdą potrzebę ciała i umysłu, od tych przyziemnych po najbardziej ezoteryczne.

Postanowiłem rozpocząć poszukiwania od wejścia do wspólnej izby gospody Pod Strzaskaną Fiolką – przybytku, który sprawiał wrażenie, jakbym nie musiał tam zostawić ostatnich monet z kiesy Kalifa. Właściciel nalegał, abym

zapłacił z góry za dwie noce i zakwaterowanie lbna w stajni. Niechętnie rzuciwszy pieniądze na łade, odwróciłem się, aby obejrzeć pomieszczenie. Zdziwiło mnie, że nawet wczesnym popołudniem było tu dość tłoczno. Przy stolach zebrano się kilka grup klientów rozmawiających cicho między sobą. Uznałem ich za czarodziejów lub zaklinaczy...

Nota tłumacza: w tym miejscu brakuje kilku stron.

Opuszczałem gospodę Pod Strzaskaną Fiolką bez oglądania się za siebie. Odebrałem lbna ze stajni, ruszyłem ulicą i skręciłem za róg, nie zważając ani przez chwilę utraconego złota.

Byłem zupełnie niewinny. Nie miałem żadnych wątpliwości. Ale w sytuacji, gdy obcokrajowiec i miejscowy wchodzi do pokoju, tóżko eksploduje, a jeden z nich kończy martwy na podłodze – sprawa nigdy nie kończy się dobrze dla obcego.

Spiąłem lbna, przynaglając go do nierównego klusa, i ruszyłem przez miasto, nie patrząc wstecz.

W końcu dotarliśmy do małej, obskurnej oberży w biedniejszej i gorzej utrzymanej dzielnicy w zachodniej części miasta. Na wyblakłym szyldzie zamieszonym nad grubymi, okutymi drzwiami widniała nazwa „Pod Ręką Maga”. Doprawdy ciekaw jestem, jakież to mag mógłby być w tej okolicy. Stajnia była brudna, stoma stara i cuchnąca, ale im większa odległość dzielita nas od ciała stygnącego w mojej izdebce Pod Strzaskaną Fiolką, tym lepiej dla nas obu.

Wspólna izba Pod Ręką Maga była znacznie mniejsza, ale jej bywalcy zdawali się znacznie weselsi od tamtych ponuraków. Gdy zamówiłem napitek, aby zabrać go do pokoju, oberżysta nie zapytał mnie, na co mam ochotę, tylko z lekkim uśmiechem popchnął ku mnie naczynie. Po raz kolejny zapłaciłem z góry, nie chcąc targowaniem się zwracać na siebie uwagi, więc przynajmniej na razie był do mnie życzliwie nastawiony.

Nie skosztowałem kupionego trunku, póki nie znalazłem się w mojej małej izdebce na poddaszu, lecz gdy w końcu upiłem tyk z kubka, niemał upadłem z wrażenia. Napój nie był gorzki, lecz słodki. Co prawda nigdy nie mógłby dorównać szlachetnym winom z piwnicy Kalifa czy z Pól Urodzaju, ale

i tak cieszył podniebienie. Byłem tak zaskoczony, że wróciłem na parter, aby zapytać, co to było, a przy okazji zdobyć kolejny kubek.

Nie wiem, moje przyszłe dzieci, czym jest „miód pitny”, ale zamierzam dowiedzieć się o nim jak najwięcej. A jeśli jest łatwo dostępny również w innych zakątkach Terrinoth, to mój pobyt w tych stronach właśnie stał się odrobinę bardziej znośny.

Sączyłem zatem miód, siedząc na wąskim postaniu i wpatrując się w krzywą i wyblakłą ścianę. Stało się dla mnie jasne, że nie osmiele się pokazać klejnotu nikomu w Szarej Przystani.

W końcu rozumiałem powagę mojej sytuacji. Potrzebuje informacji na temat kamienia, ale samo jego posiadanie narazi mnie na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Alkohol zaczyna mi mącić myśli. Obawiam się, że w związku z wydarzeniami minionego dnia wypiętem zdecydowanie za dużo słodkiego trunku. Zatem tu zakończę, na dziś ma opowieść, moje córki i synowie. Niech to będzie dla was podwójnym ostrzeżeniem - nigdy nie dajcie się uwikłać w sprawy kalifów i czarodziejów. Czekać was nagroda jest niewiele większa od związanych z tym zgrzyot.

* * * * *

Jestem w tym nieciekawym, zimnym mieście już od kilku dni. Z nudów i frustracji straciłem rachubę czasu. Być może od mojego przybycia tutaj minęły zaledwie dwie lub trzy doby. Każdy dzień ciągnie się w nieskończoność, a ja nie dowiedziałem się jeszcze niczego.

Obszedłem kolegia, konserwatoria i biblioteki, ale nie wzbogaciłem swej wiedzy o nic szczególnego poza przyzwyczajoną znajomością zawitych uliczek tego pokręconego miasta i narastającym podejrzeniem, że ktoś mnie śledzi.

Wiem, że to zapewne wynik niejasnego

i niepokojącego, aczkolwiek całkowicie nieuzasadnionego poczucia winy w związku ze śmiercią tego maga, Cindara. Mimo to wciąż wychwytyuję kątem oka ruch, a gdy się odwracam, nikogo tam nie ma.

Pierwszy pełny dzień w mieście spędziłem, wędrując po szerokich bulwarach wschodnich dzielnic, gdzie znajdowały się okazałsze i bardziej ostentacyjne budowle. Po obu stronach ulicy zwanej Drogą Światła wznosiły się strzeliste wieże i wysokie mury z wielobarwnego kamienia. Członkowie akademii mieszczących się w owych pomnikach, wzniesionych ku ich własnej chwale, byli bez wątpienia przekonani o swej nieomyślności, ale nie mogli mi pomóc.

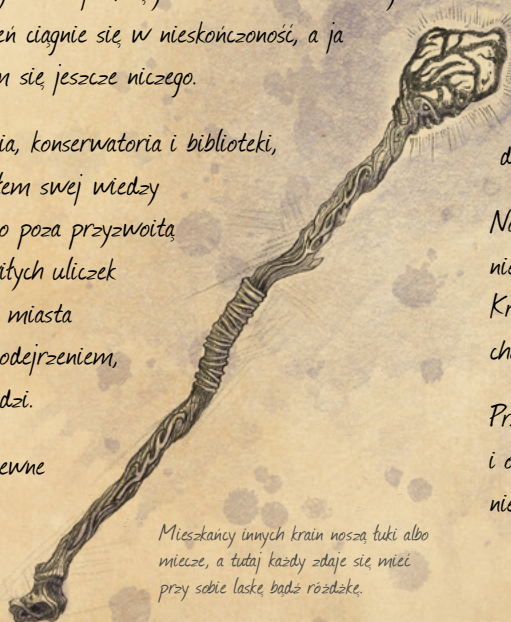
Teraz lękam się, nawet wspominać o kamieniu, a to poważnie utrudnia mi poszukiwania wiedzy o historii tego typu klejnotów lub informacji o tym, jak można by wykorzystać ich moc. Jednak nawet gdybym mógł maszerować Drogą Światła i nawoływać z całych sił, to szczerze wątpię, czy ktokolwiek z tej ulicy byłby w stanie zaoferować mi pomoc. Czarny Dom - mieszczący się oczywiście w jednym z lśniących gmachów z białego marmuru - jest typowym przykładem tutejszych szkół. Najwyraźniej dopływa tu cały strumień pieniędzy, a ja wzdrygam się na samą myśl, jak wysokie czesne płaca chciwym nauczycielom łatwomierni, zamożni rodzice. Szczerze mówiąc, mieszkańcy tej wspaniałej budowli nie zrobili na mnie wrażenia.

Studenci z Czarnego Domu byli otepiali i letargiczni, a mędrcy i nauczyciele - matomówni i podejrzliwi.

Z pewnością nie posiadli też żadnej wiedzy, którą mogliby zaoferować biednemu podróżnikowi z pytem drogi na płaszczu.

Na drugim końcu Drogi Światła w skupisku budynków nie mniej okazałych niż Czarny Dom znalazłem Akademię Królewską, której mieszkańcy okazali się równie bezużyteczni, choć z zupełnie innych powodów.

Przede wszystkim nazwę tę należy uznać za mylącą i odpychającą jednocześnie, gdyż w kraju tym żaden król nie sprawował rządów od tak dawna, że nie zdotałem tego



Mieszkańcy innych krain noszą tuki albo miecze, a tutaj każdy zdaje się mieć przy sobie laskę bądź różdżkę.

dokładnie określić. Poza tym uczeni, którzy uznają tę akademię za swoją, byli wyraźnie przekonani o własnej ważności. Ornamenty i dekoracje nie były tu może tak bogate i okazałe, jak te zdobiące ściany Czarnego Domu, ale i tak stało się dla mnie oczywiste, że znacznie więcej funduszy akademii przeznaczają się na budynki, utrzymanie otoczenia szkoły i stroje wielu uczonych i mędrców niż na naukę, książki czy odczynniki alchemiczne.

A te spojrzenia, którymi obrzucili mnie, gdy wszedłem, nim jeszcze zdążyłem wypowiedzieć choćby słowo? Odwróciłem się na pięcie i opuściłem ten przybytek, dzieci moje, będąc przekonanym, że to ze wszech miar słuszna decyzja.

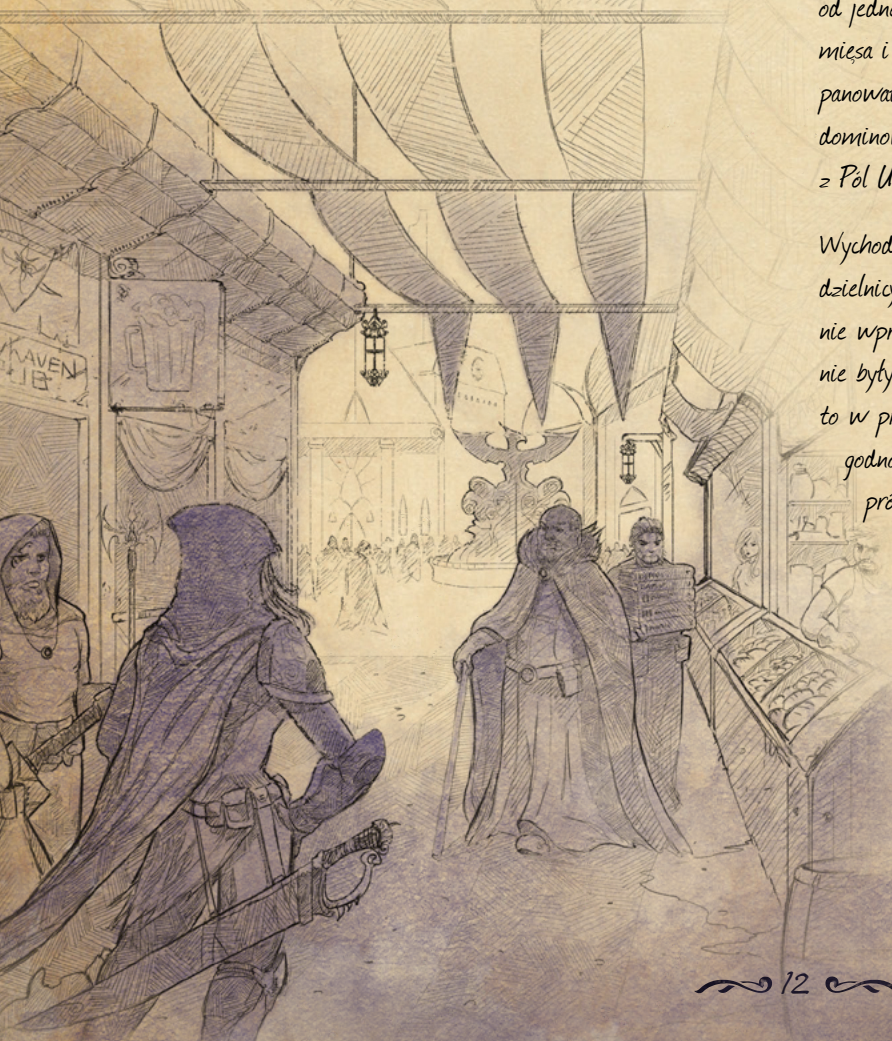
Nie znajdziecie mądrości na Drodze Światta bez względu na to, za jak uczonych uważają się przechadzający się nią ludzie. Budynki są tu okazałe, drzewa nasadzone wzdłuż ulicy bujne i wysokie, a powietrze ciężkie od woni drogich perfum i kadzideł, ale oczy nieszczęśników, którzy nawiedzają ten odcinek brukowanej drogi, są pozbawione mądrości tak samo jak pustynia litości.

Spędziwszy cały dzień na przemieszczaniu się z jednej jaskini egoizmu i pustki do drugiej, rozpaczałem, że Szara Przystań nie będzie mi miała nic do zaoferowania. Przygnębienie sprawiło, że stałem się nieco nieostrożny. Przechuwając gruby kawałek ciepłego chleba stanowiący mój obiad i opierając się ciężko o smukłą marmurową fontannę, mamrotałem pod nosem o moich przygodach na Drodze. Zauważyła mnie uprzejma młoda kobieta. Spoglądając z nad grubych szkieł okularów, powiedziała, że jeśli naprawdę szukam mądrości i oświecenia, powinienem udać się na południe, przez zielony targ do przylegającej doń części miasta zwanej po prostu błękitną dzielnicą.

Nie miałem nic do stracenia, nie przydarzyło mi się również nic, co podsunęłoby mi lepszy kierunek, więc skierowałem się na południe przez zielony targ (gdzie zapachy, choć mniej przyjemne, były o wiele bardziej znośne niż chorobliwa woń Drogi Światta), prosto do błękitnej dzielnicy. Wciąż dało się tu wyczuć wszechobecne napięcie i strach. Widziałem je w ruchach i twarzach handlarzy i klientów, którzy wędrowali od jednego do drugiego stoiska, wybierając skromne warzywa, mięsa i sery na swoje wieczorne posiłki. Ale przynajmniej panowało tu lekkie rozluźnienie, a w gwarze wielu głosów dominował żartobliwy ton, który rozpoznaby każdy rolnik z Pól Urodzaju.

Wychodząc spomiędzy wysokich drewnianych zabudowań dzielnicy targowej, właściwie od razu zorientowałem się, że nie wprowadzono mnie w błąd. Chociaż tutejsze budowle nie były tak okazałe, jak te we wschodnich częściach miasta, to w przytulnych, krętych alejkach i zaułkach dało się wyczuć godność i powagę, z którymi nie mogła się równać zimna próżność Drogi Światta.

W budynkach po obu stronach ulic mieściły się liczne sklepy, tawerny i stoiska handlarzy prezentujących swe towary. Całość tworzyła niezwykle eklektyczną mieszankę widoków i dźwięków, a przede wszystkim zapachów.



I to właśnie tam, w labiryncie wąskich uliczek obramowanych wysokimi murami i wieżami, znów poczułem nadzieję. Znalazłem tam szkoły o mniej nadętych nazwach, ale o wiele poważniejszym podejściu do nauki. Do tego zaczęło grono zaliczyć przede wszystkim Librarium Gwiazdy Północnej i Konserwatorium Lorimorskie, w których szarych, kamiennych murach przedstawiciele najprzeróżniejszych nurtów filozoficznych i magicznych toczyli ożywione dyskusje. Byłem tam świadkiem wyczynów, które wprawiałyby w ostupienie dworzan Kalifa, i usłyszałem argumenty zdolne poruszyć najtęższe umysły w służbie mego pana.

Oczy ludzi, którzy przechadzali się tymi ulicami, skrzyły się ciekawością. Choć ich szaty nie były może tak bogate, jak te należące do ich wschodnich sąsiadów, nie byli też odziani jak nędzarze. Szybko zrozumiałem, że magia, przynajmniej w Szarej Przystani, nie jest domeną biedaków. Mędrcy ci dysponują mocą tego czy innego rodzaju i najwyraźniej przynosi im ona taki poziom szacunku i komfortu, jakiego nie zazna nigdy wielu praktykujących sztuki tajemne na dzikiej pustyni.

Niestety, tutaj też niewiele wskórałem. Tutejsi mędrcy byli dużo mniej rozmowni niż nosząca okulary dziewczyna spod fontanny. Ci czarodzieje i magowie nie mieli najmniejszego powodu, by poświęcić mi więcej uwagi niż ulicznemu włóczędze. A ponieważ sam wciąż byłem wstrząśniony i wielce podejrzliwy po niefortunnym spotkaniu z Cindarem Olsniewającym, nie mogłem zaoferować im niczego, co wzbudziłoby ich zainteresowanie.

Szara Przystań nie jest miastem przyjaznym dla zwykłych przybyszów, którzy nie mają nic do zaproponowania mądrym i oświeconym. Zapewne nawet wówczas, gdy nie ciąży komuś (zupełnie bezzasadnie) na sumieniu śmierć jednego z tutejszych mieszkańców, nie jest to miejsce ani ciepłe, ani przyjazne. Gospoda Pod Reką Maga to moje schronienie, dzięki niech będą A Tarowi za drobne wygody, lecz po całych dniach pełnych chłodnych spojrzeń w zimnych i wyniosłych komnatach nawet słodki smak pitnego miodu przynosi niewielką pociechę.

Wydaje mi się nawet, że dziś widziałem z daleka jednego z tych słynnych Protektorów Cytadeli. Sytuacja polityczna tej krainy jest tak chaotyczna, że nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co to może oznaczać, ale wydaje mi się, to jeszcze bardziej niepokojące niż moja obecna sytuacja. Czy jurysdykcja Protektorów obejmuje poszczególne miasta? Czy mają oni jakąkolwiek władzę tutaj lub gdzie indziej? Czy badają sprawy tajemniczych zgonów?

Zachowałem daleko idącą ostrożność w kwestii zadawania pytań dostojnym osobistościom Szarej Przystani. W zasadzie nie ma możliwości, by ludzie, których tu spotkałem, domyślili się, skąd bierze się moja ciekawość. Z tego samego powodu nawet te nieliczne odpowiedzi na pytania, które uzyskałem, są praktycznie bezużyteczne. Pewne pocieszenie stanowi dla mnie pewność, że nikt nie wie, co mnie tutaj przywiodło ani co noszę zawsze przy sobie, a co zdaje się wazyć więcej z każdą godziną spędzoną w tym zimnym, szarym mieście.

Kresząc te słowa, zatrzymuję się, by spojrzeć w górę, na pełne drzącą belki sufitu, i przyznaję, że dopada mnie coraz bardziej dojmujące poczucie bezradności i rozpacz.

Czy mój trop tutaj się urywa? A jeśli tak, to czy mój własny strach i tchórzostwo położą kres mojej podróży, czy też będę musiał przyznać, że wszystkie moje nadzieje od początku były płonne?

Chciałbym móc napisać zdanie: „Dzień jutrzejszy będzie ostatnim, jaki spędzę w tym przekletem przez dzinnów miejscu”, lecz nie jestem pewien, czy słowa te odzwierciedlałyby słabość mego charakteru, czy też byłaby ona większa, gdybym po prostu przyznał się do porażki i zdał na łaskę Kalifa.

Wiedząc to, co teraz wiem o klejnocie i jego miejscu w historii tej krainy, tracę nadzieję nawet na to, że będę go w stanie sprzedać, jeśli znów nadarzy się ku temu okazja. Jaki głupiec zapłaciłby cenę w złocie, by posiadać przedmiot, za który inni gotowi są zabić?

Jaką wartość ma moje życie w tej dziwnej krainie, tak daleko od domu?



edrując na zachód, dostrzegatem coraz więcej dziwnych, ukradkowych spojrzeń rzucanych w moim kierunku przez innych podróżnych na szlaku. Doskonale wiem, że zarówno mój ubiór, jak i akcent zdradzają obcokrajowca. Ale ta niewytłumaczalna wrogość – tak inna od przyjęcia, jakie przygotowali mi krasnoludowie – była niemiła odmiana.

Niemal natychmiast po wyruszeniu w drogę, w słoneczny poranek zacząłem mieć wątpliwości co do nowego celu mej podróży. Wielu moich przyjaciół i towarzyszy wyraziło mroczne obawy związane z tą tajemniczą krainą. A ja mimo to dałem się przekonać historii jednej osoby do zignorowania tych wszystkich rad podsuwanych przerażonym szeptem i pograżenia się we mgłę?

Cóż, w mojej głowie istniała też inna myśl – pewność, że nigdzie indziej nie odnalazłem tego, czego szukam.

A te wszystkie opowieści nie mogły przecież być prawdziwe.

Oczywiście w Al-Kalimie zdarzają się ozywienicy. Ale starożytny licz zagrażający całemu kontynentowi wiele setek lat po swojej rzekomej śmierci? A na dodatek mający na swe rozkazy całe zastępy nieumarłych? To przecież bajki, którymi straszysz się małe dzieci. Szczerze wątpię, by

w olśniewającym blasku słońca A'Tara ostało się w nich choć ziarno prawdy.

Jednak w miarę, jak przemieszczałem się na zachód, stawało się oczywistym, że nieliczni napotkani tutaj ludzie są jedynymi z najbardziej matomównych, podejrzliwych i wręcz przerażonych mieszkańców Terrinoth. W te noce, gdy miałem szczęście odpoczywać w zajazdach, rzadkie rozmowy we wspólnych izbach toczyły się, przyciszonymi głosami i najczęściej dotyczyły tego, co może się dziać w Krainie Mgiet. Powszechnie były opowieści o rzekomych napaściach straszliwych stworów, które wypętały nocą z mgły, by palić ludzkie sadyby i mordować ich mieszkańców.

Z tego, co zdołałem zrozumieć, większość tych podań pochodziła z drugiej lub nawet trzeciej ręki. Nikt z napotkanych przeze mnie miejscowych nie widział tych okropieństw na własne oczy. Wyglądało na to, że te straszne wydarzenia zawsze przytrafiały się, czyjejs ciotce z odległego miasteczka albo jakiemuś „dziadkowi z mojej rodzinnej wioski”. Jednak mimo tego dla tych ludzi było jasne, że to wszystko jest zdecydowanie realne.

W ich oczach widać było wielkie przerażenie i nie miałem wątpliwości, że w miejscu, do którego zmierzałem, działo się coś niepokojącego. Oczywiście odrzuciłem twierdzenia, że winni temu są niespokojni umarli, ale zmartwiłem się, że przekroczenie granicy i znalezienie tego całego Karkadahna może się okazać dużo trudniejsze, niż początkowo zakładałem. Za to jeśli Kraina Mgiet naprawdę nawiedzają umarli, a ja kieruję się do przekletego miejsca, to podróż zupełnie przestaje mi się podobać.

Droga była dość dobrze utrzymana, lecz i tak nie mogła się równać ze wspaniałymi osiągnięciami krasnoludzkiej inżynierii. Teren położony na północ od niej był w większości pagórkowaty, a w oddali widać było wysokie góry. Widok na południe był podobny, ale brakowało tam majestatycznych szczytów. Dopiero czwartego lub piątego dnia po opuszczeniu Thelgrimu zobaczyłem pierwszą wieżę strażniczą wznoszącą się dumnie na odległym wzgórzu.

Jedna z licznych strażnic, na które natknąłem się w tym regionie. Większość z nich była jednak w znacznie gorszym stanie.

Oczywiście nie dano się tego stwierdzić z całą pewnością, ale jakiś aspekt budowli sprawiał, że zdawała się skierowana prosto na mnie lub raczej na północ, na to, co znajdowało się za mną, po drugiej stronie drogi.

Odwrociłem się, by spojrzeć w tym kierunku, i nie dostrzegłem tam żadnego zagrożenia ani choćby wyraźnej różnicy w ukształtowaniu terenu w porównaniu z krainą rozciągającą się na południe. Lecz niedługo po tym, jak minąłem tę pierwszą strażnicę, natknąłem się na kolejną – o takiej samej przysadzistej konstrukcji i także skierowaną na północ. Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Przesady przesadami, ale nigdy nie trafiłem na lokalnego władcę, który poniósłby tak wielkie koszty ze względu na swoją wybujałą fantazję.

Kilka dni później zbliżyliśmy się do kolejnej wieży strażniczej, której jednak nie było. Na szczycie odległego wzgórza zwieńczonego stosem pokruszonych kamieni widniała wypalona plama, a gdy zerknąłem nerwowo na ruiny, zdało mi się, że widzę wśród nich rozrzucone strzepy białobłękitnej tkaniny. Resztki sztandarów? A może mundurów?

Tak naprawdę nie miałem ochoty się przekonać, zatem pojechałem dalej. Nie natknąłem się już na południu na żadne inne strażnice poza pojedynczymi ruinami, które wyglądały na znacznie starsze niż to pierwsze, świeże pogorzelsko.

Zachodni trakt z Thelgrimu prowadzi do Dziwnej Przystani, którą obratem na kolejny cel podróży. Miasto położone jest na granicy z Krainą Mgieł, dlatego uznałem, że będzie doskonałym punktem wypadowym w to tajemnicze miejsce... jeżeli starczy mi odwagi, by zrealizować mój plan.

Już ponad dzień drogi przed Dziwną Przystanią zauważyłem, jak żywe były otaczające nas pola uprawne. Wprost wylewały się z nich wszelkiego rodzaju plony, przywodząc mi na myśl Pola Urodzaju, a nawet odległy Aymhelin.

A jednak na każdą wypielegnowaną kwaterę, ziemi przypadają dwie leżące odłogiem, tak jakby w okolicy brakowało rąk do pracy. Napętniło mnie to niepokojem dużo bardziej niż nawet najstraszniejsze i mrozące krew w żyłach ostrzeżenia

ustyszane do tej pory. Jeśli czarny cień, który padł na ten region, wypędził rolników z tak urodzajnych ziem uprawnych, to zapewne niebezpieczeństwo było jak najbardziej realne.

Dziwna Przystań mocno kontrastowała z soczyste zielonymi polami rozciągającymi się po horyzont we wszystkich kierunkach. Tutejsze budowle z ciemnoszarego kamienia i smolonego drewna były przysadziste, funkcjonalne i brzydkie. Przez chwilę dumiałem, jak odmiennie może wyglądać ten sam surowiec w zależności od kultury, która go wykorzystuje. Krasnoludowie wznosili skomplikowane, artystyczne cuda z granitu i marmuru. Al-Kalim wprost lśnił się od polerowanego piaskowca i skrzących się w słońcu mozaik. Ale oprócz nich istnieją również brzydkie i pozbawione połotu kamienne labirynty Archaut i zimna utylitarność Szarej Przystani.

Jednak spośród nich wszystkie Dziwna Przystań okazała się najmniej gościnna.

Nad miastem zdawała się wisieć niewidzialna, dusząca chmura, która nadawała wszystkiemu, co się w nim działo, ciemny i nieprzyjemny odcień. Na ulicach roznosił się mdłaśco-śłodki zapach kadzidła i starożytnego kurzu – wyjątkowo nieprzyjemne połączenie. Działające w mieście karczmy i gospody nie poprawiały sytuacji, a woń jadła i napojów, które już dawno powinny były wylądować na śmietniku, powodowała nieprzyjemne drapanie w gardle i pozostawiała przykry posmak.

Mieszkańcy Dziwnej Przystani stronili od obcych i zajmowali się swoimi sprawami. Cokolwiek robili, traktowali to bardzo poważnie. Kiedy w ogóle zwracali na mnie uwagę, rzucali w moim kierunku podejrzliwe i wrogie spojrzenia. Panująca tu atmosfera stresu i strachu była zupełnie zrozumiała, zważywszy na mroczną reputację krainy leżącej po drugiej stronie granicy, lecz emocje te miały jednocześnie charakter bardziej osobisty.

Wielki A'tar wie, że staram się dawać wszystkim istotom żyjącym pod jego słońcem spory kredyt zaufania, ale niemal od razu stało się dla mnie jasne, że Dziwna Przystań to siedlisko wszelkiej maści wyrzutków, wygnañców i totarów.

Spędziłem pewien czas w kilku tawernach, próbując dyskretnie ustalić najlepszą trasę do Krainy Mgiet, ale za każdym razem spotykałem się z kosmymi spojrzeniami i lekceważącym milczeniem. Byłem coraz mocniej przekonany, że wielu z tych ludzi wie więcej o kamieniu w mojej torbie i jego tajemniczym pochodzeniu, niż wszyscy mędrcy, których spotkałem dotychczas na swojej drodze. Zdałem sobie jednak sprawę, że nikt z tutejszych nie zdradziłby mi, obcemu, ani jednego z sekretów, za których poznanie sami zapłacili bogom tylko wiadomą cenę.

Na domiar złego tutejszy miód był kwasny i metny, a nie słodki i klarowny jak napój, do którego zdążyłem już przywyknąć.

W ciągu ostatnich kilku dni mojej podróży na zachód widziałem, jak wszędzie wokół mnie starożytne szkielety przeszłości były zastępowane nowszymi ruinami i w mej głowie zaczęła powoli kietkować przerażająca myśl. Te ziemie nekata jakaś złowieszcza siła – i to od wieków.

Co się stanie, jeśli owe moce dręczące Terrinoth dotrą, jakos do Al-Kalimu?

Myśl ta rozrastała się, coraz bardziej w moim umyśle i sprawiła, że podjąłem się poszukiwań prawdy o klejnocie ze zdwojoną siłą. Jeżeli te mroczne siły zwróciłyby się na południe, to wojownicy, skrytobójcy i magowie Kalifa stanęliby przed trudnym zadaniem obrony królestwa. Artefakt tak potężny, jak zdawał się, być kamień, mógł zadecydować o przetrwaniu lub upadku mej ojczyzny.

Niestety, te nowo odkryte pokłady determinacji zderzyły się z równie nowym lekiem przed Krainą Mgiet rozciągającą się na północy, tuż za Dziwną Przystanią. Było jasne, że mieszkańcy miasta są przerażeni tym, co może się czaić na spowitych mgłą, opustoszałych ziemiach zwanych Trzynastą Baronią. Brak uczynnych, ciężko pracujących rolników, z których większość zbiegła na wiele dni, tygodni, a nawet miesięcy przed moim przybyciem w te strony, był milczącym świadectwem tego, że przywoici ludzie uważali zagrożenie płynące z północy za bardzo realne.

Sam pomysł, że starożytni ożywieni i ghule powstają z grobów, by polować na żywych, jest zgoła śmieszny, ale

może te dziecinne strachy skrywają prawdziwe, bardziej przyziemne niebezpieczeństwo?

A jeśli baronowie, obywatele Wolnych Miast, elfowie, krasnoludowie i inni mieszkańcy północnych krain, noszący w zbiorowej nieswiadomości wspomnienie straszliwej potęgi Waiğara Wielkiego, nadali jego miano jakiejś innej straszliwej istocie dysponującej olbrzymią mocą i wyciągającej szponiastą dłoń po całe Terrinoth?

Łatwiej było mi uwierzyć, że jakiś watażka najechał Baronię, zamieszkał w Krainie Mgiet i teraz wykorzystuje przesady tych ludzi przeciwko nim, niż przyjąć, że pradawnie zło nawet teraz rozważa zniszczenie wszystkiego, co jasne i dobre.

Opuściłem Dziwną Przystać z poczuciem ulgi niemal równym groźbie narastającej w moim sercu w związku z perspektywą rychłego wejścia do Krainy Mgiet. Chciałem wierzyć, że to właśnie tam znajdę pomoc. Słowa mego ludzkiego przyjaciela z Thelgrimu dawały mi okrucieństwo nadziei, że czające się we mgle istoty nie są potworami, lecz takimi samymi ludźmi jak ja. Jeżeli łączy nas wspólne pochodzenie, to czy nie jest możliwe, że choć rdzenni mieszkańcy północy odczuwają przed nimi słuszny lęk, ja sam zdołam uniknąć wrogości z ich strony?

Skierowałem się ku małej osadzie, którą polecono mi odnaleźć. Zwała się Durling i leżała w niewielkiej odległości na północ od Dziwnej Przystani, na granicy ostatniej baronii. Było to ciche i spokojne miasteczko niczym nieodbiegające od jemu podobnych osiedli rozsianych po tym regionie. Domy, niewiele solidniejsze od prostych chat, mogły być kiedyś niedbale pokryte warstwą farby, lecz wiatr i słońce pozbawiły je kolorów i nadały wszystkim budynkom jednolity odcień wypłowiałej szarości. W okolicy wyboistej głównej drogi niemal nie było żywej duszy. Gdy wszedłem do jedynej gospody, jaką mogło się poszczycić miasteczko, zostawiwszy łbna z tysym jak kolano, milczącym młodzieńcem z przepaską na oku, bez zdziwienia zobaczyłem, że wspólna izba jest pusta.

Byłem zatem jedynym gościem w gospodzie Głowa Barona i próbowałem nie myśleć zbyt intensywnie o pochodzeniu tej nazwy – sytuacja, w której się znalazłem, sprawiała, że widziałem moje przedsięwzięcie w jeszcze dziwniejszym,

niewielkim światłem. Gospodarz, mężczyzna o dziobatej twarzy stale wykrzywionej w nieprzyjemnym grymasie, odpowiadał na moje pytania wyłącznie chrząknięciami do chwili, gdy zobaczył złoto Kalifa. Potem już dużo chętniej opowiadał o krwiopijcach i zbłąkanych duchach, o zwierzętach zaszlachtowanych w środku nocy i dzieciach, które zniknęły z własnych łóżek i słuch po nich zaginął.

Opowieści karczmarza była doprawdy ponura i w żadnym stopniu nie uspokoiła myśli ani nie rozluźniła ścisniętego zębów. W końcu zmęczony jednak płynący z jego ust potok plotek, zostawiłem go zatem samemu sobie, skłoniwszy się tak uprzejmie, jak tylko zdołałem, i spędziłem kilka chwil, patrząc na ciemniejące północne niebo za oknem. Czuję się bardzo dziwnie sam we wspólnej izbie. Podawano tu tylko gorzkie trunki, których spróbowałem po raz pierwszy w Treltonie, zatem wcześniej udałem się na spoczynek, choć mój umysł wciąż intensywnie pracował i nie dawał mi zasnąć.

Siedziałem przy oknie na twardym, wąskim postaniu i obserwowałem kłębiącą się w ciemności mgłę. Wyciągnąłem kamień Kalifa, co nie zdarzało mi się często, i wpatrując się w jego lazururową głębie, błagałem, by się przede mną otworzył, wyjawić mi swoje tajemnice i sprawić, że nie będę

już musiał udawać się do strasznej krainy rozciągającej się na północy.

Al-Kalim potrzebuje tego klejnotu, lecz jeżeli nie zdołam dotrzeć do jego mocy, pozostanie bezużyteczny. Jaki czeka mnie los, jeśli nie wypełnię tego zadania? Będę się błąkał bez końca po tym zimnym, odległym pustkowiu, czekając, aż czyhające tu nieokreślone zło uczyni ze mnie kolejną bezimienną ofiarę?

Moje perspektywy nie są zbyt optymistyczne. Zatem, jednak, że to wina zgubnego wpływu ciągłego przygnębienia mieszkańców tej krainy, a nie trzeźwa ocena sytuacji.

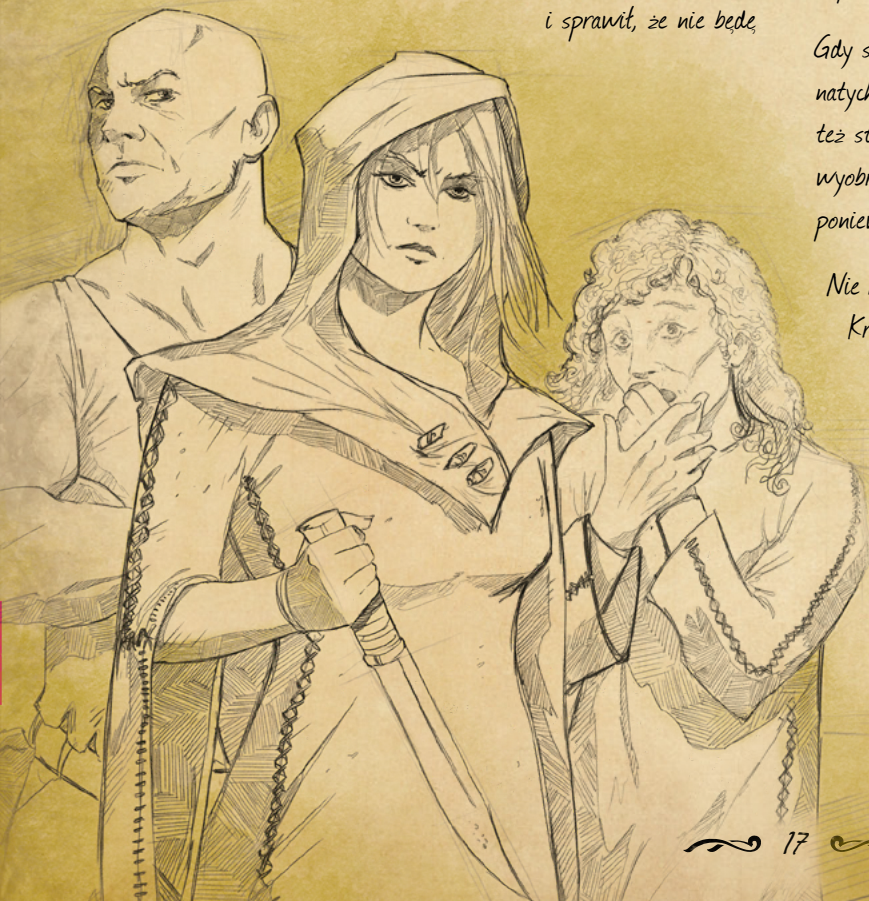
Tak czy inaczej, wyczuwam rychły kres mej podróży. Nie wiem, czy powinienem odczuwać ulgę, czy raczej uciekać z przerażenia i ukryć się w najgłębszej dziurze, jaką zdołam znaleźć.

Spałem w Durlingu niespokojnie nie tylko ze względu na przecucie nieuchronnej zguby wiszące nad moją głową, niczym burzowa chmura. Noc wypełniał też dziwny odgłos, coś na kształt odległego, głębokiego stukotu, szczerku i zgrzytania, jak gdyby we mgłę pracowała jakaś dziwna, olbrzymia machina. Dźwięk zdawał się bez trudu przenikać przez ściany i drzwi – prosto do mego przelekniętego serca.

Gdy się obudziłem z płytkiego snu, dziwny odgłos natychmiast umilkł. Nie wiem, czy był prawdziwy, czy też stanowił zaledwie wytwór mej nadmiernie pobudzonej wyobraźni, ale nie chciałem pytać o niego karczmarza, ponieważ lekłem się potwierdzenia moich obaw.

Nie mam już wymówek, by nadal zwlekać z podróżą w głąb Krainy Mgieł. Muszę pocieszać się racjonalnymi prawdami świata, jakie rządzą w mej ojczyźnie, i nie mogę się poddać grozie przerażających opowieści, którymi oplekli się tutejsi pogrążeni w niewiedzy nieszczęśnicy.

Przykładowi mieszkańcy tego zakątka świata. Na ich twarzach malowały się głównie nieufność, strach i podejrzliwość. Szczyt te powstały z pamięci, gdyż nikt nie zgodził się, bym go narysował, w obawie przed szkodliwymi duchami porwijącymi duszę z pergaminu jak owoce z drzewa.





dawato mi się, że rozumiem, czym jest niedola. Za młodu byłem często zmuszony sypiać na ulicach miasta wielkiego Kalifa.

Układałem się na spoczynek pod palmami: podczas gwałtownych burz piaskowych chronilem się w jaskiniach. Kiedyś schowałem się przed szalejącymi żywiołami za starą studnią, a wszędzie wokół były pioruny.

Żadne z tych doświadczeń nie przygotowało mnie jednak na zimny, zielony koszmar, jakim jest Aymhelin.

Moja pierwsza wyprawa do lasu nie była zbyt udana i niemal przekonała mnie, że moja misja nie ma tutaj szans powodzenia. Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich kilku dni wielokrotnie zastanawiałem się nad powrotem do Kalifa z pustymi rękoma.

Gdybym wrócił z klejnotem i osobiście wręczył go Kalifowi, to czy tak wielki i mądry człowiek mógłby w ogóle uwierzyć, że wcześniej go ukradłem? Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach wróciłby do Dworu Mądrości, ukradłszy coś takiego?

Ale te ścieżki mego umysłu są już dość mocno wydeptane. Czy ktokolwiek choć trochę rozsądny w ogóle wróciłby na dwór Kalifa, znalazłszy się w moim położeniu? Jaką karę mógłby mój władca wymierzyć takiemu człowiekowi, aby odstraszyć wszystkich, którzy w przyszłości zechcieliby przywłaszczyć sobie coś z jego skarbcza?

Nawet tutaj, skulony pod ciemnym baldachimem drzew w tym budzącym grozę lesie, tak daleko od mego suchego, piaszczystego domu, drzę, na samą myśl o licznych możliwościach kaźni.

Zatem powracam do znajomej myśli: droga powrotna do ojczyzny będzie dla mnie zamknięta, dopóki nie poznam tajemnic klejnotu.

A elfowie Latari z Aymhelinu coś wiedzą. Wierzę, że potrafią mi przynajmniej wskazać, dokąd powinienem się udać.

Gdybym tylko potrafił przekonać ich do rozmowy!

Jak już wspominałem, pierwszy dzień nie był obiecujący. Wynajawszy pokój w pobliskim zajazdzie, zostawiłem tam większość bagaży i pełen obaw znalazłem się w zielonym cieniu lasu. Nawet po obejrzeniu panoramy z mojego pokoju w Zielonej Bramie jako przybysz nie mogłem w pełni zrozumieć prawdziwego znaczenia i majestatu tej potężnej ściany drzew.

Gdy z każdym krokiem zanurzałem się w szmaragdową ciemność otoczony gigantycznymi, sięgającymi niemal chmur pniami, mogłem kontemplować znikome znaczenie mego istnienia.

Ścieżka była początkowo szeroka i wyraźna. Nawet po stu krokach w głąb lasu dwa załadowane wozy mogłyby nadal minąć się, bez przeszkód. Wkrótce jednak kończyła się, na dużej i puste polanie wydeptanej od wieloletniego użytkowania. Odniostem nieodparte wrażenie, że wozy ze światła zewnętrznego kończyły tu trasę, następnie były rozładowywane, a towary w taki czy inny sposób trafiały w głąb lasu.

Z polany rozchodziło się też kilka innych ścieżek, dużo węższych i ciasniejszych. Gdy spojrzałem za siebie, droga wydata mi się tunelem, wokół którego gromadziły się mroczne cienie. W oddali widać było promienie

ciepłego, południowego słońca padające na zieloną trawę.

Jednak do mnie nie docierało już ani ciepło, ani światło, ponieważ byłem dobrze ukryty pod ostoną potężnych, leśnych behemotów.

Żadna ze ścieżek rozchodzących się z polany nie wyglądała na lepszą od pozostałych. Starając się zachować orientację w terenie, wybrałem tę z nich, która zdawała się prowadzić głębiej w ciemność.

Naciągnąłem mocniej na

Natrafiałem w wielkiej puszczy na kilka małych kapliczek jak ta – zawsze w miejscach, gdzie panowały cisza i niezamącony spokój. Nie jestem pewien, czy umieszczano je ku czci tych leśnych enklaw, czy też były przyczyną ich powstawania.



ramiona nowo nabyta, pelerynę i ruszyłem przed siebie z pochyloną głową i wzrokiem utkwionym w otaczające mnie cienie.

Nad szlakiem nachylały się z obu stron olbrzymie paprocie. Potężne pióropusze lśniły od rosy, a ja wkrótce byłem przemoczony od ich rozgarniania. Często ścieżka znikata wśród falujących liści, a moje stopy przesuwwały się wśród zieleni niewidoczne nawet dla mych czujnych oczu.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo trwał ten mozolny marsz. Przez, zdawało się, wiele godzin nie spotkałem ani elfów, ani kogokolwiek innego. Lęk, który narastał w mej piersi, różnił się od poczucia zagrożenia towarzyszącego mi od Szarej Przystani. Ta zaciskająca się wokół mnie obroż wydawała się dużo bardziej realna tutaj, gdzie napierał na mnie cały ciężar starożytnej puszczy, a korony drzew zastaniały słońce. Zacząłem rozumieć, być może po raz pierwszy, czym tak naprawdę był strach.

A kiedy w końcu natrafiłem na pierwszego elfa z Aymhelinu, nie było to miłe spotkanie.

Zatrzymałem się i ostrożnie popijałem wodę z bukłaka, obserwując otaczający mnie las. Przysiągłbym wam wtedy, moje córki i synowie, że jestem zupełnie sam.

Gdy elf wyłonił się z zielonego cienia tuż przy moim łokciu, tak mnie zaskoczył, że upuściłem bukłak, tracąc przy tym kilka garści cennej wody, która rozlała się na wilgotną glinę, nim zdążyłem podnieść i zatkać naczynie.

Jak się później okazało, elf był typowym przedstawicielem swego gatunku. Wysoki, szczupły, elegancki i pełen gracji, ubrany w oształamijającą gamę zieleni i brązów, dzięki którym z niemal magiczną skutecznością wtapiał się w tło lasu.

Gdy tak się w niego wpatrywałem, mając nadzieję, że przemówi jako pierwszy, kilku innych pojawiło się za nim i przeszło mnie pozbawionymi wyrazu spojrzeniami.

Niezręczna cisza się przedłużała, podkreślana niezliczonymi odgłosami otaczającego nas lesnego życia.

- Dzień... dobry? - Pierwszy kontakt z zupełnie nową, dziwną kulturą, być może wypadłby nieco lepiej, gdybym się do niego bardziej przygotował.

Odpowiedź elfa okazała się jednak równie błyskotliwa.

- Odejdź.

Mówił we wspólnej mowie Terrinoth z akcentem, który utrudniłby zrozumienie bardziej zniuansowanej odpowiedzi. Jednak te dwie sylaby były wystarczająco wyraźne.

- Tak uczynię. - Chciałbym mieć nadzieję, że poradziłbym sobie lepiej w ojczystym języku, lecz nie jestem tego całkowicie pewien, wracając myślami do chwili, gdy te przerażające widma wpatrywały się we mnie, jakbym był tylko niewielkim szkodnikiem, którego łatwo można zlikwidować jedną strzałą.

Wbrew udzielonej odpowiedzi nie ruszyłem się z miejsca. Chyba nigdy nie dojdę do tego, co mną wtedy powodowało.

Niemniej moje zachowanie zdawało się konfundować elfów tak samo jak mnie, a to, jak sądzę, zadziało na moją korzyść, gdy spróbowałem sformułować bardziej elokwentną odpowiedź.

- Bardzo chciałbym z kimś porozmawiać, zanim odejdę. - A kiedy już zacząłem, jak to często bywa w napiętych sytuacjach, bardzo trudno było mi przestać mówić. -

Przybywam z daleka. Nie uwierzylibyście mi, gdybym wam powiedział, jak długą drogę przebyłem. Chcę tylko zadać komuś kilka pytań. Badam kamienie. Magiczne klejnoty. Właściwie to nie wiem, czy są magiczne. Chciałbym się z kimś naradzić. Powoduje mną po prostu ciekawość. Nie jestem bezpośrednio zainteresowany tego typu kamieniami. Jestem tylko wędrownym badaczem. Poszukuję informacji. O magicznych klejnotach. Albo niemagicznych, kto to wie.

W końcu jednak musiałem przerwać potok słów, aby zaczerpnąć powietrza.

Pierwszy z elfów przechylił głowę na bok, a między jego jasnozielonymi oczyma utworzyła się ledwie widoczna zmarszczka. Poza tą reakcją nikt jednak nie dał po sobie poznać, że w ogóle mnie ustyszeli.

Nagle zorientowałem się, że wykazałem się karygodnym brakiem manier.

- Najmocniej przepraszam. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Tarik Al Farabi z dworu Kalifa z odległego Al-Kalimu. Proszę. Chciałbym tylko...

- Odejdź natychmiast. - Tym razem jego słowa wydały się ostrzejsze, ale mógł to być tylko efekt mojego rosnącego zrozumienia sytuacji.

Gdy poczułem, że raz jeszcze rośnie przede mną ściana, która odetnie mnie od celu mej misji, załata mnie fala desperacji.

- Proszę. Chciałbym tylko z kimś porozmawiać...
Z kimkolwiek...

Nie wyczułem żadnego ruchu, ale nagle zobaczyłem tuż przed oczami błyszczące groty trzech wycelowanych we mnie strzał.

Tylko pierwszy z elfów pozostał nieuzbrojony z rękoma niedbale opuszczonymi wzdłuż ciała.

- Odejdiesz albo zginiesz. - Słowa zostały wypowiedziane powoli, wyraźnie i beznamiętnie. Ich brzmienie zupełnie nie odpowiadało wadze zawartego w nich wyboru.

Odkryłem, że bezwiednie uniosłem ręce nad głowę, zatem zmusiłem się do ich opuszczenia. Wpatrywałem się w zimne oczy nieznanego i nagle zrozumiałem coś z dziwną pewnością.

Elfowie wiedzieli, po co tu jestem, i właśnie ta wiedza była przyczyną zimnego przyjęcia, a nie jakaś napedzana ksenofobia, paranoja czy nadopiekuńczość względem leśnych ostępów.

- Nikdzie się nie rusze, dopóki nie otrzymam odpowiedzi!

To właśnie chciałem powiedzieć, lecz gdy otworzyłem usta, obok mego ucha przeleciała z wściekłym sykiem strzała, która wbiła się następnie w pień drzewa tuż za moją głowę, pozabawiając mnie po drodze kilku włosów. Słowa ugrzęzły mi w gardle, gdy gwałtownie się wzdrygnąłem.

- Nie otrzymasz kolejnego ostrzeżenia. Nic tu po tobie, Tariku Al Farabi. - Pierwszy z elfów poruszył się, podnosząc jedną rękę, by wskazać mi drogę powrotną. - Odejdiesz teraz, bez słowa, albo już nigdy nie opuścisz tego miejsca.

Droga powrotna do Pieśni Lata dłużyła mi się znacznie bardziej niż mój poranny spacer, lecz gdy wyszedłem

w ciepłe objęcia słońca, do zmierzchu pozostało jeszcze co najmniej kilka godzin.

Wmaszerowałem do Zielonej Bramy, ignorując ciekawskie spojrzenia bywalców gospody, i szybkim krokiem wspiałem się po schodach do pokoiku z pięknym widokiem na tę straszną knieję. Moją nastroj - nieprzyjemne połączenie strachu i złości - tak przestonił mi świat, że usiadłem na łóżku tyłem do szerokich okien i dałem się, przez kilka minut. Nie miałem najmniejszego zamiaru opuszczać mej izdebki aż do rana. Byłem zdecydowany zostawić tę zieloną ciemność i jej zimnokochanych mieszkańców daleko za sobą.

Jednak w końcu moje postanowienie zostało całkowicie załuszczone przez donośne burczenie w brzuchu. Nic nie jadłem od czasu śniadania na szlaku i nagle wróciło do mnie wspomnienie smakowitych zapachów roznoszących się po wspólnej izbie. Widziałem też rozstawione na stołach kubki i kufle i byłem pewien, że mógłbym dostać tu miód, gdybym tylko poszedł i zapytał.

Goście zgromadzeni we wspólnej izbie podnieśli wzrok znad jadła i napitków, gdy wróciłem na dół. Sądząc po ich reakcjach, przyklejony do mej twarzy sztuczny uśmiech nie był szczególnie przekonujący. Kilkoro z obecnych skinęło mi jednak głowami, po czym wróciło do swoich spraw. Wkrótce udało mi się zwrócić uwagę karczmarza, zamówić pięknie pachnący gulasz i usadowić się przy dużym stole w rogu sali, skąd obserwowałem otoczenie.

Posiłek został podany niemal natychmiast. Towarzyszył mu kubek zimnego i bardzo słodkiego miodu. Skinąłem karczmarzowi głową w podzięk. Gulasz niemal na pewno zawierał mięso, ale niknęło ono w oształamającej ilości warzyw, z których wiele trudno mi było zidentyfikować. Wszystko było świeże, eksplodowało głębią smaku i lekkimi przyprawami kojarzącymi się z ziemią i lasem. Zadrzałem na samą myśl.

Nie skończyłem jeszcze wieczerzy, gdy od sąsiedniego stolika nachylił się do mnie krzepki blondyn. Jego twarz wykazywał niezbyt przyjazny uśmiešek.

- Nie tak łatwo się z nimi dogadać, co?

Miał niski, chropawy głos. Skinął głową, jak gdyby dzielił się jakąś niefortunną prawdą ze współtowarzyszem podróży.

Wzruszyłem ramionami i wytarłem usta serwetką; to kolejny drobny element etykiety często pomijany na północy.

- Słucham?

Mężczyzna wskazał głową na zachód, gdzie w oddali wznosiła się ciemna ściana drzew.

- Elfowie. Nie ułatwiają życia takim jak my.

Zmrużyłem podejrzliwie oczy. Byłem ostatnimi czasami szczególnie wyczulony na zwroty w rodzaju „tacy jak my”, ponieważ rzadko należałem do grupy, którą określano tym mianem. Ten nieznajomy zdawał się łączyć nas dwóch w grupę stojącą w opozycji do elfów. Pomimo wydarzeń mijającego dnia i wciąż doskwierającej mi frustracji, coś w jego zachowaniu wydało mi się fałszywe.

Z przyczyn, których nie potrafię wam teraz wyjaśnić, moje nienarodzone dzieci, poczułem potrzebę wzięcia elfów w obronę.

- Takim jak kto? Elfowie nie okazali się ani łatwiejsi, ani trudniejsi w kontakcie niż inni, których spotkałem w życiu.

Mężczyzna z jakiegoś powodu uznał to za zabawne i odwrócił się z powrotem do swojego stolika.

- Taaa, przypuszczam, że masz rację. - Upił spory tyk swojego napitku. - Miałem na myśli nas, ludzi. Jeśli nie ma się czegoś, czego chce Dwór, lub nie zostało się wezwanym przez tamtejszych możnych, nie da się zapuścić zbyt daleko w głąb Aymhelinu bez wrócenia z takimże samym wyrazem twarzy, jaki ty dziś masz, przyjacielu.

Jego słowa zwróciły moją uwagę.

- Dwór? Jaki Dwór?

Muszę ze wstydem przyznać, że mimo istic błazeńskiej odwagi, na jaką się zebrałem tego dnia, nie dowiedziałem się nawet tyle o wewnętrznych sprawach Latarów i Aymhelinu. Być może należało wykazać się większą roztropnością i rozpytać wpierv wśród bardziej rozmownych mieszkańców Pieśni Lata.

- Tak. - Zwrócił się do mnie raz jeszcze, z tym samym nieznośnym uśmiechem. - Dwór. Mówiąc szczerze, jest ich chyba kilka. Dzielią się, podług leśnych regionów albo wiezów krwi, a może rodzaju drzew, na których mieszkają. Kto to wie? Zdaje mi się, że każdy z nich jest mniej lub bardziej niezależny od pozostałych, ale wszyscy spotykają się w centrum puszczy, żeby omawiać ważne sprawy. Jak się ich słucha, od razu wiadomo, że to Dwór przez duże „D”. Jedyne kontakty świata zewnętrznego z Latarami.

Czy zatem to przedstawiciele owego Dworu odprawili mnie dziś z kwitkiem? Albo może była to jakaś miejscowa, pomniejsza grupa, której się nie spodobałem? Czy byłaby jeszcze dla mnie nadzieja, gdybym obrat inną trasę? Wybrał inną ścieżkę, wychodzącą z głównej polany?

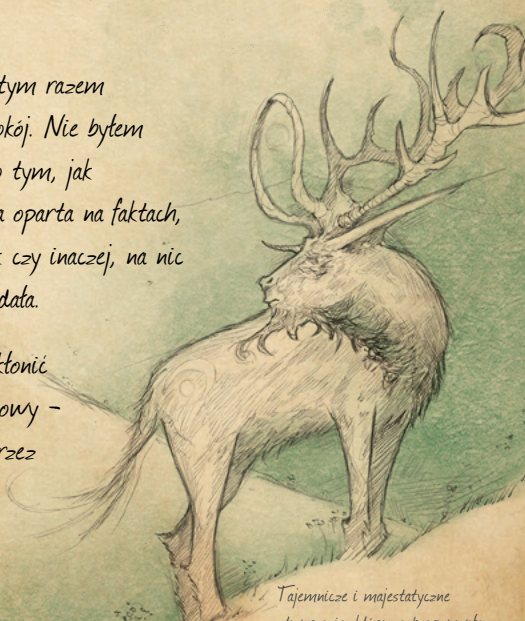
- Nie rób tego. - Uśmiešek zniknął z ust rosteo mężczyzny, który wpatrywał się we mnie teraz oczyma pozbawionymi ciepła.

- Czego? - Niemal w pełni opanowałem już północną mowę, lecz nadal potrafiły mnie skonfundować miejscowe zwyczaje i dialekty - zwłaszcza gdy myślami byłem gdzie indziej.

- Nie myśl, że to, co przydarzyło ci się tam dzisiaj, jutro mogłoby skończyć się inaczej. - Jego oczy pociemniały. - Masz szczęście, że udało ci się ujsć cało, przybyszku. Poza nocą letniego przesilenia, kiedy elfowie chętniej goszczą ludzi, tylko kupcy i pośrednicy mogą swobodnie podróżować przez puszcze. Wszyscy inni wychodzą jak ty, z obłędem w oczach. Albo nie wracają wcale.

Odwrócił się ponownie i tym razem postanowiłem dać mu spokój. Nie byłem pewien, czy jego wiedza o tym, jak funkcjonuje Aymhelin, była oparta na faktach, czy na uprzedzeniach. Tak czy inaczej, na nic więcej by mi się nie przydała.

Muszę w jakiś sposób nakłonić kogoś z Latarów do rozmowy - inaczej moja wędrówka przez całą tę zniszczoną krainę, pójdzie na marne.



Tajemnicze i majestatyczne stworzenie, które zaobserwowałem na skraju wielkiej puszczy. Nikt nie potrafił go zidentyfikować.



óź, moi synowie i córki, wreszcie ta pogrążona w mrokach niewiedzy kraina zrobiła na mnie wrażenie czymś innym niż strach i obrzydzenie! Zaprawdę, Thelgrim to prawdziwy cud! Jest to pierwsze godne tego miana miasto, które odwiedziłem na północy.

Pierwszym sygnałem, że mój los się odmienił, była – o dziwo – droga. Wyboisty i pełen kolein koszar, do którego zdążyłem już przywyknąć w tych stronach, zmienił się w trakt wytyczony w prostej linii z twardą nawierzchnią złożoną ze ściśle przylegających do siebie kocich tłów i rowami po obu stronach.

Oczywiście później dowiedziałem się, że wkroczyłem do rozległej doliny, w której znajduje się Thelgrim, i tym samym przeszedłem spod chwijejnego sztandaru Dagańskich Baronii prosto w góry Dunwarr. Gdy jechaliśmy równą drogą, w oddali zobaczyłem kilka solidnych kamiennych budowli. Choć wzniesiono je z wielkich, ciemnoszarych bloków, a nie z piaskowca jak w domu, ich widok rozgrzał moje serce. Wrót doliny strzegły potężne wieże i wały obronne okalające wysoka bramę z łsniącej stali, która zdawała się sięgać chmur. Sądziłem, że dotarliśmy do Thelgrimu, dopóki przypadkowo spotkany na drodze kupiec nie wyprowadził mnie z błędu.

Było to bowiem zaledwie wejście do Thelgrimu. Mieszka tutaj wielu ludzi, a także krasnoludowie o bardziej awanturnicznym charakterze. Tutaj też znajduje się wiele sklepów i zakładów, targowisk i magazynów, które służą ludziom z okolicznych terenów i utwierdzają Thelgrimowi handel z baroniami i innymi państewkami z całej północy. Później dowiedziałem się, że u większości krasnoludów wejście to wywołuje niechęć, a nawet złość jako drogowskaz kierujący ich licznych wrogów w stronę ich prawdziwego domu. Jednak to wszystko, co widziałem zbudowane na powierzchni, wydawało się bardzo stare. Nie byłem zatem w stanie odgadnąć, jak długo krasnoludy pielegnowały lęki, które nigdy się nie ziszczyły.

W centrum fortyfikacji znajdowała się wielka brama broniąca przejść do samego Thelgrimu. Dostawszy się do środka pod czujnym okiem krasnoludzkich wojowników w ciężkich zbrojach, zacząłem się obawiać, że źle zrozumiałem wskazówki, które mi

przekazano. Obszerne tunele bardziej przypominały szerokie ulice i pełne były podróżnych, a także wszelkiego rodzaju sklepów, tawern i gospód. Odchodziły od nich czasem wykute w litej skale boczne korytarze. Wszystkie były równie ciemne jak główna arteria, którą przemieszczałem się z lbnem. Minęło kilka długich dni, w czasie których zdawało mi się, że schodzimy w dół bez końca, nim zobaczyliśmy krasnoludzkie miasto w pełnej krasie. I to właśnie tam, moje nienarodzone dzieci, po raz pierwszy naprawdę zachwyciłem się tą dziwną, odległą krainą.

Thelgrim był w większości jedna, gigantyczna jaskinia, która zdawała się większa niż wznoszące się ponad nią góry. Fronty domów, sklepów i zakładów zostały wyrzeźbione w jej ścianach w odmiennych stylach, a kamienie o różnych barwach i fakturach nadawały każdemu z nich niepowtarzalny charakter. Oświetlenie zapewniały wiszące nad naszymi głowami duże kottły wypełnione substancją, która w ciemności świeciła na złoto. Blask odbijał się od kryształów w sklepionym suficie i sprawiał, że ulice poniżej skapane były w miękkim, żółtym świetle.

Szerokie tunele rozchodziły się we wszystkich kierunkach niczym aleje, obramowane parkami o tak obcy pięknie, że słowa mnie zawiodła, gdy chce je opisać. Tam, gdzie pod słońcem rostyby drzewa i inne rośliny, znajdowały się pełne wdzięku, delikatne formacje skalne w oszłamijającej gamie barw, a każda jarzyła się niezwykłym, delikatnym blaskiem i zawierała niezliczone rzeźby umieszczone na półkach wyciosanych w łsnącym kamieniu.

Na tym niecodziennym tle tępito życie gwarnej ciszy złożonej z krasnoludów i ludzi, a wszyscy byli wyraźnie wyżej od swych pobratymców z południa. To tutaj zobaczyłem wreszcie przedstawicieli inteligentnych ras wolnych od wszechobecnego strachu, który zdawał się zatrzymywać umysły ludzi żyjących na powierzchni. Tamci wydają się często zatamywać pod ciężarem cieni i zagrożen wiszących nad Północą, a tutejsze ludy stawiają mu czoła z niezłomną determinacją.

Zacząłem się zastanawiać, czy ludzie z innych krain podzielają entuzjazm i energię Thelgrimu.

Stało się to również przyczynkiem do refleksji nad tym, w jakim świetle stawia to mój gatunek jako taki.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem świecące kamienie w parkach, poczułem przyptyw nadziei, ale szybko ją straciłem, gdy usłyszałem od bardzo młodej krasnoludki, że takie skały występują powszechnie w krasnoludzkich miastach. Z uśmiechem na gładkiej twarzy powiedziała mi, że nie ma to żadnego związku z jakimikolwiek „magicznymi kamieniami”.

Mimo to kilka osób, które spotkałem w tawernach na obrzeżach Aymhelinu, twierdziło, że krasnoludowie potrafią ryc runy i doskonale znają starożytne podania. Jeszcze nie mogłem się poddać.

Szybko przekonałem się, że jednym z obszarów, w których specjalizują się krasnoludowie, jest browarnictwo i winiarstwo, a także picie – czy raczej żłobanie, by użyć właściwego słowa – wytworzonych trunków.

Po wejściu do szczególnie zatłoczonego lokalu dowiedziałem się ku mej uciechu, że miód pitny jest ulubionym napojem krasnoludów i mają go tu pod dostatkiem.

Umieściłem Ibona w niewielkiej, lecz dobrze utrzymanej stajni, a następnie skierowałem się do przybytku, na którego misternie rzeźbionym, kamiennym szyldzie widniała nazwa Kamionkowy Kubek. Gdy otworzyłem drzwi i rozejrzałem się po ciemnym, zadymionym wnętrzu, ze zdziwieniem zauważyłem, że wśród niższych, przeważnie brodatych klientów jest kilkoro ludzi.

Zamówiłem sobie dużą porcję miodu przy długim, kamiennym kontuarze, a następnie, czekając, aż karczmarz przyniesie mi napój, zacząłem szukać potencjalnych źródeł informacji. Trzech starych wiarusów wyglądało obiecująco. Siedzieli nieopodal przy podniszczonym okrągłym stoliku, skąd mogli obserwować drzwi, a jednocześnie mieli łatwy dostęp do kontuaru.

Ich stół niemal ugiął się pod ciężarem uczty, która mogłaby się równać z uroczystym obiadem Kalifa z okazji Dnia A'tara, a mnie na sam widok zaczęła cieknąć ślinka mimo obfitego posittku, który dopiero co zjadłem. Były tam półmiski pełne soczystych mięs, stosy niewielkich warzyw i korzeni oraz długie, parujące bochenki pachnącego, brązowego chleba. Nad wszystkim górowało kilka pięknych, misternie wykonanych pucharów wypełnionych pianistym, gorzkim trunkiem z północy.

Zbliżyłem się zbrojny w okazały kubek miodu. Jeden z krasnoludów, starszy, wesoly, z bujną, białą brodą splecioną w dwa długie warkoczki, podniósł się, klepnął mnie bolesnie w plecy i popchnął na siedzenie z taką siłą, że rozlałem trochę cennego trunku na kamienną posadzkę.

– Witaj, Rozdartzziemcze! Dołącz do nas! – Krasnolud wrócił na swoje miejsce, a szeroki uśmiech zalsnił w gąszczu jego białej niczym śnieg brody. – Nieczęsto widuje się was tak daleko na północy! Pozwól, że przedstawię ci tych starych drani. – Wypowiedział te słowa przyjacielskim tonem i choć jego dwaj towarzysze przybrali teatralnie gniewne miny, to już po chwili przewracali oczami na znak zartobliwej pobłażliwości dla wybryków druha.

Wrota Thelgrimu! Mogłbym tu siedzieć i wpatrywać się w nie zadziwiony jeszcze przez wiele godzin. Ich rozmiary są doprawdy imponujące, zwłaszcza w porównaniu ze wzrostem ich budowniczych.





Lekka przekąska
chętnie podjadana
przez miejscowych
krasnoludów
między posittkami.

- To jest
- klepnął
w plecy
młodsze-
go kompana,
którego
brązowa broda
była krótko
przystrzyżona -

Korbin z Gildii Górników.

Krasnolud odziany w zbroję, płytową i rogaty, metalowy hełm skinał głowa,

- A to - mój rozmówca klepnął w ramię, mężczyźne, siedzącego naprzeciw mnie - Glyr, uzdrowiciel i mój współbrat z Gildii Wojowników.

Glyr miał dorodny, kartoflowaty nos, przebarwiony od zbyt częstego picia. Jego rude włosy związane były z tytu głowy w krótki węzeł, a czerwona broda rozlewała się, niesforne po szerokiej piersi. Również skinał mi głowa, odsuwając jednocześnie rękę, starego krasnoluda.

- A ja - obwieścić mój nowy przyjaciel z przesadnie zamasztyłym gestem, zupełnie ignorując niezadowolone Glyra - jestem Grisban, ale możesz też na mnie wotać jak kamraci z gildii: Spragniony! Wyciągnął rękę, po kubek stojący przed Glyrem i porwał go, zanim tamten zdążył zareagować, a następnie wychylił ruchem tak niedbatym, że przynajmniej połowa płynu rozlała mu się na brode.

Był to, jak się później dowiedziałem, prawidłowo wykonany ztop.

Trzej krasnoludowie zachęci mi do opowiadania o mej ojczyźnie i o sobie samym. Pragnęli też poznać wieści ze świata. Korbin, ciemnowłosa krasnolud, wydawał się najbardziej obeznany ze sprawami mojej odległej ojczyzny, ale wszyscy trzej byli szczerze zainteresowani. Uśmiechnąłem się szeroko, czując, jak rozlewające się w mej piersi ciepło miodu łączy się z przyjazną atmosferą, roztańczoną przez tych zacnych

krasnoludów, i zacząłem im opowiadać historie o Al-Kalimie i moich podróżach po Północy.

Mimo ciepłego przyjęcia byłem jednak ostrożny i nie zamierzałem zdradzić mych prawdziwych intencji.

Opowiedziałem im zatem o tradycyjnym rytuale przejścia, którego muszą się podjąć uczeni, aby dostać się do jednego z Kolegiów Sztuk Tajemnych, i szczegółowo opisałem budowlę starożytnego Haruunu - miasta, którego nigdy w życiu nie odwiedziłem.

Tej nocy dowiedziałem się wiele o krasnoludach, ich historii, mitach i legendach. Jak na zaprawionych w boju weteranów ta trójka zdawała się poświęcać zbyt wiele uwagi bajkom dla dzieci. Najwięcej miejsca w ich opowieściach o przeszłości zajmowały smoki, choć, jak przypuszczam, powszechna jest wiedza o rzadkości występowania tych ogromnych stworzeń i ich samotniczej naturze.

Mimochodem wspominałem o mojej rosnącej pogardzie dla rządów daqańskich baronów, a moi nowi przyjaciele szybko się do mnie przyłączyli, narzekając na swych ludzkich sąsiadów i chaos, który uchodzi pośród nich za tradycyjną metodę sprawowania władzy. Krasnoludowie z Dunwarru są w tym zakresie, jak się wydaje, o wiele bardziej tradycyjni: w swojej pracy podążają za wskazówkami i wizją swojego monarchy. Udało mi się ustalić, że przed wyborem kandydat na władzę, musi odbyć służbę w jednej z wielu gildii, które stanowią rdzeń krasnoludzkiego społeczeństwa w górach.

Cała koncepcja wyboru monarchy była jednak na tyle dziwna, że przerwałem moim przyjaciółtom ich długą i hataśliwą rozmowę, by zapytać, jak to jest, że krasnoludzkim władcą nie zostaje się z urodzenia, będąc wybranym przez samych bogów do wypełniania tak wzniosłego obowiązku. Odpowiedział mi Grisban, stary wojownik, spoglądając na mnie z niedowierzaniem znad brzegu kufła.

- Mielibyśmy się zdać na taske, jakiegoś przypadkowego głupca, który talentem nie przewyższa pierwszego lepszego barana? - Wydawał się szczerze zdegustowany samym pomysłem dziedziczenia władzy.

- Od czasów Helki Odważnej pokładamy większą ufność w zdolnościach i odwadze niż w rodowodach. - Korbin wzruszył ramionami. - Wiemy, że wy, rośli, przywiązujecie dużą wagę do takich rzeczy, ale krasnoludowie zawsze byli ludem bardziej praktycznym.

Glyr pokiwat twierdząco głową.

- Zbytńio zamierzacie krwi, a niedostatecznie zdolnościom.

To, co mówili, miało jakiś sens, ale pomysł, że Kalif mógłby zostać wybrany, i to przez zwykłych ludzi, był zbyt obcy i dziwaczny dla mego otepiatego od trunku umysłu.

- Aby zostać wybranym na władcę krasnoludów, musisz dowieść swej wartości przez całe lata służby w gildiach. - Grisban odchylił się na swoim rzeźbionym krześle. - Nie wchodzi się po prostu do sali tronowej i nie przejmuję niekwestionowanej władzy nad całym krasnoludzkim rodajem. Potrzeba lat poświęceń i nauki, aby zdobyć mądrość niezbędną do tego, by poprowadzić lud z Dunwarru przez zasadzki tego świata. Czy powinniśmy pozwolić, by tu obecny młody Korbin powiódł nas w przyszłość, choć głowę ma jeszcze mokrą po ostatniej kąpieli?

Grisban i Glyr śmiali się z tego długo i donośnie, a ja patrzyłem z bezsilną rozpaczą, jak cenny trunek rozbryzguje się na kamieniach. Dostrzegłem rosnące poirytowanie Korbina, ale po chwili rozluźnił się, on nieco i wziął kolejny haust gorzkiego napitku.

Następnie moi towarzysze szczegółowo opowiedzieli mi o gildiach i objaśnili różnice między Gildią Górników Korbina a Gildią Wojowników, do której należeli dwaj pozostali. Wydaje się, że wśród krasnoludów to właśnie górnicy kopią najgłębiej w niezbadanych skalach i drążą je w poszukiwaniu cennych rud metali. Tworzą również nowe tunele, pomagając w ten sposób w rozbudowie podgórskich osiedli. Z kolei członkowie Gildii Wojowników to bardziej tradycyjni żołnierze, tacy jak Biała Gwardia Kalifa, a może nawet Protektorzy Cytadeli.

Jestem pewien, że istnieje jeszcze kilka innych gildii, ale chaotyczny charakter naszej rozmowy i obfity strumień, którym lały się napitki, osłabiły moją zazwyczaj doskonałą pamięć. Świta mi coś o Gildii Kupców, a ponieważ mowa jest o krasnoludach,

na pewno funkcjonują wśród nich również organizacje zrzeszające kamieniarzy i kowali. Nie mam też wątpliwości, że dość szczegółowo omówiliśmy Gildię Piwowarów.

W końcu, po wielu kolejkach trunków i godzinach przekomarzania się, na temat dzielących nas różnic kulturowych, zdołałem skierować rozmowę, na magiczne artefakty, co na nowo wzbudziło zainteresowanie moich towarzyszy.

Wspaniali krasnoludowie jako poszukiwacze przygód wiedzieli wiele o odtłankach runicznych, o których słyszałem już w innych miejscach. Słyszeli o fantastycznych przedmiotach zasilanych mocą takich właśnie kamieni. Byli jednak wojownikami i niewiele mogli mi powiedzieć o ich działaniu.

Kiedy w końcu poruszyłem temat pochodzenia tych artefaktów i możliwego źródła ich mocy, zaczęli po przyjacielsku zrzedzać i sprawdzać wzajemnie swoją wiedzę - lub jej brak.

Już po chwili byłem pewien, że nie mogą mi nic powiedzieć o klejnocie Kalifa niespełtanym runicznymi tańcuchami najbardziej zaciekłych wrogów krasnoludów - smoków.

Wolałem działać subtelnie, zatem musiałem raz jeszcze wybrać okreśną drogę i zamówić kilka kolejek na rachunek Kalifa aby spytać, czy brak tej wiedzy dotyczy tylko moich nowych przyjaciół, czy też wszyscy ich pobratymcy podzielają ignorancję w tej kwestii.

Wtedy właśnie dowiedziałem się o drażliwości krasnoludów. Nie spodobała im się sugestia, jakoby wśród ich pobratymców panowała powszechna niemiedza, i zadeklarowali, że przedstawiciele Gildii Skrybów Run bez wątpienia co najmniej dorównują mądrością każdemu uczonemu z Szarej Przystani czy Nerekhallu, albo zniewieściatym filozofom z południowych lasów.

Moi towarzysze zauwazyli, że ten zwrot w rozmowie bardzo mnie dotknął i - co im się chwali - szybko zaofierowali mi słowa pocieszenia. Zapewnili mnie, że muszę po prostu znaleźć właściwego adresata moich pytań.

Ale dokąd miałbym się udać, skoro nie zdołał mi pomóc ani ludzcy magowie z Szarej Przystani, ani elfi medrzy z Aymhelinu, ani też krasnoludzy Skrybowie Run z Dunwarru?



zieni moje, długo się zastanawiałem, czy opowiedzieć wam tę historię.

Teraz, gdy przebywam już daleko od Pogranicza, wszystko wydaje się zbyt nierealne, by mogło być prawdziwe. Jawi mi się raczej jako bajka, z której łatwo się śmiać w świetle dnia. Lecz kiedy zapada ciemność, przypominam sobie o wiosce noszącej jakże stosowną nazwę, Zmierzch.

Gdy noc robi się tak cicha, że słyszysz bicie własnego serca i krew pulsująca w mych żyłach, wracają do mnie wyraźnie jej przejmujące słowa opisujące kraję, pełną grozy i posoki.

* * * * *

Podróżowałem wzdłuż granicy Baronii Kell, kolejnego z dziwnych kawałków tych ziem. Znalazłem tam starożytną drogę. Powiedziano mi, że zaprowadzi mnie do osady zamieszkałej przez mądrych ludzi, którzy podobno znają się na magii kamieni. Sytuacja w regionie sprawiała wrażenie bardzo napiętej, jakby mieszkańcy spodziewali się, że jeśli nie zachowają czujności, zza horyzontu przyjdzie jakieś nieszczęście, które ich pochłonie.

Przekroczyłem szeroką rzekę i pozostawiwszy za sobą pola, wszedłem na niezadbane tereny porośnięte dziką roślinnością. Szlak stawał się coraz bardziej zdradziecki, a mój nastrój powoli dopasowywał się do otoczenia.

Nie skłamię, gdy powiem, że do obrania tego kierunku skłoniły mnie rozpacz i desperacja. Stałem się tak spragniony nadziei, jak podróżnik błądzący przez wieki po bezkresnych piaskach otaczających nasze miasta pragnący bezcennej wody.

Wkrótce pochłoneły mnie mroczne rozmyślenia i znów musiałem walczyć z pokusą, by po prostu zabrać pozostałe monety, błękitny kamień i porzucić Kalifa, oby jego spryt zawsze pozwalał mu przechytrzyć po stokroć przekleństw dzinnów.

Nie zauważyłem, że wcześniej brukowana droga zamieniła się w wydeptaną ścieżkę wijącą się wśród tak. Wkrótce nie miałem pojęcia, czy jeszcze znajduje się na szlaku. Okolica była dzika, co jakiś czas mijalem rozpadające się ruiny wysokich fortów świadczące o jej dawnej świetności.

W końcu, gdy niebo już pociemniało, zobaczyłem w oddali małą osadę, którą ledwie można było nazwać wioską. Oznaczało to jednak dach nad głową, dlatego złożyłem po cichu dzięki za pomoc okazaną takiemu głupcowi jak ja.

Wszedłem do pierwszego lokalu, który był otwarty, a migoczące światła wskazywały mi drogę. Jednak gdy szukałem mędrców, którzy mogliby podzielić się ze mną wiedzą o kamieniach lub przynajmniej o magii, odpowiadał mi tylko szyderczy śmiech. Choć w karczynie było pełno gości (nigdy wcześniej nie widziałem ludzi tak kudłatych, jak niektórzy z tutejszych), nikt nie chciał ze mną rozmawiać, nawet gdy zaproponowałem, że napelnę im kufle. W końcu spotkaliśmy się wrokiem z kobietą stojącą za kontuarem. Przywołała mnie do siebie.

Wyglądem pasowała do karczmy, wioski, a nawet do okolicznych ziem – była twarda i bezkompromisowa. Odniosłem wrażenie, że wiele słyszała od podróżnych, i miałem nadzieję, że dowiem się czegoś, co pomoże mi w mej podróży.

– Witaj, Rozdartzziemcze! Wyglądasz, jakbyś się zgubił – powiedziała z lekkim rozbawieniem. Cały czas przecierała grubą szmatą rząd skórzanych kubków. Na rękach miała sztywne, ciężkie rękawice. – Niewielu tędy przechodzi. Ale ty mi kogoś przypominasz. Zawędrował tu wiele lat temu.

– Faktycznie – odpartem – nie planowałem tego, ale skoro już tu trafiłem, zamierzam poznać tajemnice magii tej krainy. Czy owa druga osoba wiedziała coś o magii? Albo – zniżyłem głos do szeptu – o kamieniach mocy?

– Tak, nauczyła się o magii – odpowiedziała Garda (bo tak miała na imię, co okazało się później, gdy noc niemal przemieniła i ponownie zmieniła się w dzień). – Może nawet za dużo, ale już ty to osądzisz. Znam opowieść, która może cię zainteresować, Rozdartzziemcze.

Dałem jej monetę, w zamian za kubek jakiegoś ciepłego cienkusa, a potem jeszcze jedną, Garda oparła się o stółek i zaczęła opowiadać. Do dziś żałuję, że usłyszałem tę historię.

* * * * *

Nigdy nie powiedziała, skąd pochodzi ani co robi tak daleko na Pograniczu. W końcu to już prawie ziemię Ru. Może szukała zwłok do ograbienia, których tu zawsze jest pod dostatkiem. Może była na tropie Pustego Królestwa, jakiejś zapomnianej elfiej świątyni, a może nawet zaginionego smoczego skarbu, który leżał bezpiecznie od czasu, gdy te bestie omal nie spaliły świata, pełnego cudów jak ten twój ładny, niebieski kamyczek. Tak, zauważyłam go. Nie martw się, nie mam w związku z nim żadnych planów.

Mnie się zdaje, że przed czymś uciekała. Może zdezerterowała z dagańskiej armii? A może zwiata temu głupcowi Edlundowi? Może była złodziejka, która czuła na plecach oddech baronowskiej straży i nie chciała spędzić reszty życia za kratami? Może i miała farta, ale na Pograniczu szczęście szybko się wyczerpuje. Póki płaciła srebrem albo miękkim złotem, nie zadawałam zbędnych pytań. Dużo ciekawiej było zgadywać. Prawda nigdy nie dorównuje wyobrażeniom, czyż nie, Rozdartoziemcze?

Pewnego dnia zatrzymał ją patrol z jakiejś bezimiennej stаницy. Związali ją, jak baleron, zarzucili worek na głowę, i już mieli ją pakować na szubienicę. Pewnie myślała, że to najgorszy dzień w jej nędznym życiu. Niezbyt długo.

Nagle rozległ się skowyt i pokrzykiwanie, a członkowie patrolu zaczęli gorączkowo wydawać rozkazy. Krzyki zbliżały się z każdej strony, a potem zaczęli też wrzeszczeć jej porywacze. Wszystko to zmieszało się z dźwiękami metalu uderzającego o pancerze i przerażającymi odgłosami rozrabianych ciał.

Potem zaległa cisza. Ona zaczęła krzyczeć, kiedy zdjęto jej worek z głowy i zobaczyła sceny rodem z koszmaru.

Stworzenia, które kiedyś mogły być ludźmi, o ciele szarym jak kamień i porożowanym ostrymi odtłankami kości. Z ich bezwłosych czaszek, ramion, a nawet pleców wyrastały potężne kolce. Miały na sobie strzępy podartej tkaniny, która być może od początku była czerwona, a może zabarwiła się szkarłatem rozbrzyżanej krwi. Smród był nie do zniesienia, a szorstkie, zgrzytliwe dźwięki wydawane przez te istoty ranity jej uszy.

Pamiętała powtarzane szeptem legendy. Szarańcza. Pierwsza Era Mroku. Uthukowie.

Wszędzie wokół niej leżały ciała – kilka stworów, ale głównie żołdacy z patrolu. A raczej to, co z nich pozostało.

Ci, którzy jeszcze żyli, byli związani jak ona i prowadzeni niczym owce na rzeź.

Bardzo się bała, ale mimo to zastanawiała się, dlaczego stworzy nie zabity wszystkich? Zdolała jednak dostrzec coś w oczach żołnierzy z patrolu. Oni wiedzieli. I byli przerażeni. Niektórzy pragnęli szybszej śmierci i próbowali poderżnąć sobie gardła kolczastymi pnączami, którymi ich związano. Żadnemu się jednak nie udało, zdotali się, co najwyżej pokaleczyć. Widząc to, Uthukowie tylko parskali szyderczym śmiechem.

Jak się później dowiedziała, Uthukowie zabrali ich przez Pogranicze i na północ, aż na pustkowie Charrj. Nie miała poczucia odległości ani mijających dni. Nigdy się nie zatrzymywali. Ona i pozostali nieszczęśnicy jakoś zasypiali w dzień czy w nocy mimo wrzasków i skowytów, a ich wyczerpane umysły zapadały w sen niczym ścięte drzewa. Nie było jedzenia ani wody, tylko nieustający marsz w głąb przekletej krainy.

Gdy słońce zachodziło nad ciemnoczerwonymi skałami, ponad wypaczonym krajobrazem unosiły się straszliwe cienie czarniejsze niż nocne niebo. W rozbłyskach piorunów pojawiały się, nienaturalne, ciągle zmieniające się kształty.



W oddali rozległy się głośne okrzyki, na które odpowiadały rykiem setki, a może tysiące Uthuków. Powtarzano się to bez końca, jak gdyby wrzaski jeszcze bardziej rozpalaty ich żądze krwi. Nigdy nie spotkała tych istot. Biorąc pod uwagę niezliczone okropności, których była świadkiem, twierdziła, że pod tym względem miała szczęście.

Po drodze mijali niezliczone drewniane i metalowe pale ozdobione czaszkami i rzeźbionymi symbolami. Pokrywały je wzory wykonane ze świeżej krwi i odtłanków kości. Nie była pewna, czy mają one stanowić ostrzeżenie, wyznaczać granice terytoriów, czy też upamiętniać wcześniejsze podboje. Czy ona i jej współwięźniowie również skończą jako ozdoby? W końcu mineli jeden z wielu poszarpanych szczytów skalnych i trafili do niewielkiej wioski.

Była tak samo wypaczona i straszna jak jej porywacze, pełna ostrych kątów i kolców. Wokół stały proste chaty z drewnianych słupów i skór, a najbardziej okazałe budowle wspierały się na rogach i żebrach olbrzymich zwierząt.

W głębokich dołach buzował ogień, płomienie wlatywały pod niebo niczym drapieżne ptaki. Tutaj na pale nabitó świeższe czaszki.

Widziała też innych Uthuków. Niektórym z pleców wystawały kości, które podwajały ich wzrost. Mieli do nich przywiązane chorągiewki i inne kości, aby uczcić przybycie jej porywaczy.

Mam nadzieję, że nigdy nie spotkam jednego z tych straszylet, oznaczałoby to bowiem, że zbłądziłem na terytorium Uthuków.

Ogromne potwory ze zniekształconymi kończynami tażyły po okolicy, przypadkowo powalając na ziemię mniejszych Uthuków. Więźniów wprowadzono do środka, a skowyt porywaczy i ich pobratymców wybuchł niekończącą się wrzawą. Gdzie tylko spojrzęła, odkrywała nowy koszmar. Ale nie to było najgorsze.

Twierdziła, że było tam coś jeszcze straszliwszego, że czaiło się tam zło znacznie gorsze niż okropności, które ją otaczały. Czuta, jakby smród wiszący w powietrzu gęstniał, kamieniste podłoże stawało się twardsze, a dźwięki bardziej przesywające. Czasami dym z ognia płonących w dołach wiał się i skręcał tak, jakby przelatowały przez niego jakieś istoty, chociaż nic nie było widać. Możliwe, że był to rezultat wycieńczenia, ale wydawała się wierzyć w to, co mówi, jakby to coś było ważniejsze niż sam najazd Uthuków.

Ich wędrówka dobiegła końca przy płaskim kamieniu, którego powierzchnia była zabarwiona na ciemnobrazowy kolor. Tam skuto ich łańcuchami i wtrącono do prymitywnej klatki z powykrzywianych kości powiązanych ciernistymi pnączami.

Broni żołdaków z patrolu i jej własny skromny dobytek rzucono na wielki stos błyszczących klejnotów i srebrnych ostrzy, które lśniły w blasku ognia. Na kilku z nich rozpoznała krasnoludzkie runy. Z jej opisu wywnioskowała, że były bardzo stare i bardzo potężne. Był tam też świecący kamień z runa, której nigdy mi nie opisała, ale wydaje mi się, że widziałeś już coś podobnego, prawda?

Niewiele mówiła o tym, co stało się później. Po kolei wyciągano ich z klatki i zabierano na płaski kamień. Potem była krew i monotonne zaśpiewy, zło gęstniało w powietrzu, aż wszystko ustało, a z nieba spadł ogień i dym.

Jednak coś musiało pójść nie tak. Ktoś źle wymówił zaklęcie albo nie wyciął prawidłowo symbolu. Coś było niezadowolone, nawet mimo złożonych mu ofiar. Widziała tylko, że nikt jej nie widzi przez gęste, czarne opary, które wypełniły powietrze. Zdażyła chwycić za kościany szeptylet leżący na ziemi tuż obok klatki. Poczuta ostry ból w jednej ręce – gorszy nawet od tego, który wciąż odczuwała w nodze... a potem była już wolna. Przebiegła wiele lig, nim krzyki w końcu ucichły. Ale niektóre krzyki nigdy nie milkną, prawda?



* * * * *

* * * * *

Aż w końcu weszła tu pewnego dnia, nie tak wiele lat temu. Opierała się o chropowaty, pokryty symbolami drag z poczerńniętego drewna. Jedną nogę miała odjętą w kolanie i obwiązana karmazynowymi szmatami. Była chuda i wynędzniała, ale mimo to potrafiła unieść ciężką sakwę.

Tylko jeden przedmiot z jej tobołka, widac najmniej wartościowy, wystarczył tamtej nocy na zakup jedzenia i napitków, a także noclegu na dłużej. Twierdziła, że ma jeszcze większe skarby, które ukryła gdzieś indziej, poza Pograniczem. Paru głupców próbowało ją śledzić, gdy wyruszyła po swoje tupy, ale żaden nie wrócił. Może wszystkie jej skarby są ukryte tutaj, a ona wywabia ich, rozprawia się z nimi i w ten sposób pozbywa się, z otoczenia wszelkich zagrożeń?

Wiem tylko, że data mi dość, bym mogła zaspokoić niemal wszystkie jej potrzeby. Trzyma się na uboczu i kupiła sobie usługi wystarczającej liczby najemników, by zapewnić sobie prywatność. Raz na księżyc przychodzi do niej gość. Czasem to ktoś, kogo rozpoznaje z poprzedniej wizyty, a czasem nowa twarz. Zawsze jednak są pełni zapatu i niecierpliw, a odchodzą zadziwieni i spełnieni. Kto wie, z jakim skarbem opuszczają to miejsce? Jaką moc zdobyli? Jaką starożytną relikwie posiadli? Dla mnie ważniejsze jest to, co po sobie zostawiają, bo ich złoto w odpowiednim czasie trafia do mojej kieszeni.

Ona sama nie wadzi nikomu, usiłuje dożyć swoich dni i zapomnieć. Nie chciała nawet, by jej nogą zajął się aptekarz lub czarodziej. Twierdziła, że brakująca część ciała należy teraz do czegoś innego i obawia się, że magia mogłaby to przebudzić. To jej słowa, Rozdartoziemcze, jej słowa.

Pewnego razu zapytałam ją, dlaczego nie opuści tej dziury i nie wyjedzie gdzieś daleko stąd. Przez chwile wpatrywała się w swój kubek, a potem wymamrotowała, że i tak nie będzie się gdzie schować, gdy nadejdą. Kiedy szarancza powróci, cały świat splotnie i zostanie złożony w ofierze dla krwi i kości.

- I oto ona, Rozdartoziemcze - zakończyła Garda. - Moja opowieść o Mrocznych Ziemiach. O skarbach i koszmarach. Warto ją przekazać innym, gdy będziesz podróżować po Terrinoth, nie sądzisz?

Odpartem, że jest to w rzeczy samej imponująca opowieść godna powtarzania. Wręczyłem jej cięższą monetę i zatrwiałem sprawę noclegu.

Między nami, moje dzieci, muszę przyznać, że tę opowieść wolabym jak najszybciej zapomnieć. Sama myśl o tym, że istnieją takie rzeczy - i to mimo okropieństw, które już widziałem w tych krainach - jest doprawdy straszna. A była to opowieść o zaledwie jednej napaści opowiedziana przez jedyną ocalałą. Po ilu najazdach nie pozostało nawet to? Ilu straciło życie, by zaspokoić ten zew krwi?

Jest to jednak historia, którą przekazałem dalej. Aż prosi się, by ją opowiadać, by ją rozpowszechniać na tych ziemiach - zarówno w charakterze ostrzeżenia, jak i przynęty. Być może właśnie dlatego Garda się nią podzieliła. Być może inni także ją powtarzają albo są na tyle odważni, by samemu wyruszyć na pustkowie w poszukiwaniu skarbów. Wielu przeleknę się takiej opowieści i zawartej w niej prawdy, ale zawsze znajdują się też tacy, których przyciągnie obietnica złota, przygody lub naprawiania krzywd. A im więcej osób będzie wiedziało, tym więcej spróbuje przejść do czynów, by zapobiegać takim okrucieństwom, choć może to okazać się daremne.

Nigdy nie zapytałam Gardy, jak ta nieszczęsna kobieta z jej opowieści zdolała przemierzyć pustkowie. Pamiętam jednak, że moja rozmówczyni poruszała się sztywno i nigdy nie zginęła palców jednej z urekawiczonych dłoni. Pamiętam też leżącą na kontuarze kulę z grubego szkła z poszarpaną kością i zębami w środku.

Rad jestem zatem, że nie zapytałam. Garda ma do opowiedzenia historie, ale osoba, która ją opowiada, nie jest tą samą, która ją przeżyła, a ja aż za dobrze rozumiem tę różnicę.



ustynna droga była równa i dobrze utrzymana, a podróż przebiegała szybko i sprawnie. Zanim weszedt potężny A'tar i skapał w swym ciepłym blasku Wielkie Morze Piaskowe, zanurzyłem się w bujnych dolinach Pól Urodzaju. Jeszcze nigdy nie zawędrowałem tak daleko na północ. Widok wielkiej ilości wody płynącej między zielonymi brzegami rzeki był tak piękny, że prawie nie do zniesienia.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zostać na zawsze w tej krainie żyznych pól i chłodnej wody. Być może udałoby mi się zniknąć w jednej z wiosek rozsianskich po całym regionie, znaleźć sobie dobrą kobietę i wieść pozytywne życie prostego rolnika?

Piątego dnia zniw, czyli w AlArabiea, zatrzymałem się w jednej z takich wsi. Wieszniacy urządzali ucztę, do której szybko zaprosili tajemniczego nieznajomego. Wśród różnorodnych dań znalazły się szaszłyki z soczystego mięsa, delikatne kawatki puszystego ciasta i smakowite pasty nabierane na kawatki prąszonego chleba. Na obu krańcach stołu ustawiono misy pełne kolorowych owoców i małe, kamionkowe kubki z sorbetem.

Nie były to może potrawy tak ekstrawaganckie, jak te spożywane codziennie przez Kalifa, nie zawierały bowiem wielu zagranicznych przysmaków, które napływały do stolicy szlakami handlowymi z całego świata, ale i tak była to wysmienita ucztę.

Niestety wiedziałem, że Kalif nigdy nie dopuściłby do tego, by jego sakwa pełna monet przepadła bez śladu, a tym bardziej jego bezcenny klejnot z północy. Tak więc, wydawszy z siebie głębokie, rozdzierające serce westchnienie żalu, rozstałem się z gościnnymi rolnikami i wyruszyłem w dalszą drogę.

Miasto Siryasa ominałem oczywiście szerokim łukiem. Wojowniczkę matriarchatu mogą wydawać się kuszące z oddali, ale gdy dzieli się z nimi drogę, okazują się niezwykle onieśmielające. Od chwili opuszczenia Dworu Mądrości nie widziałem żadnych żołnierzy i poczułem nieco dezorientującą ulgę, lecz gdy iglice i minarety Siryasy wyłoniły się zza koron drzew po lewej stronie drogi, zacząłem napotykać

patrole złożone z par wojowniczek. Były odziane w lekkie pancerze owinięte szkarłatną tkaniną, a ich oczy były martwe niczym pustynny kamień. Nie miałem ochoty zapuszczać się do miasta pełnego takich kobiet. Jeszcze gorsza była ich wątpliwa lojalność wobec Kalifa, zważywszy na to, co niostem w sakiewce przy pasie.

Jadąc na północ, unikałem małych miasteczek i wiosek. Nocą rozbiąłem obóz pod rozłożystymi konarami bujnych, zielonych drzew i kładłem się na miękkiej, chłodnej trawie. Spokojne tempo mej podróży dało mi dużo czasu na zastanowienie się nad sytuacją. Kamień, którego nie wyjąłem jeszcze z kieszy, mocno ciążył mi u pasa. Czy skarb ten zawdzięczałem szczęściu, czy też przekłębemu i złemu losowi? Uczucie, które tamtej nocy zakiełkowało w moim sercu w chwili, gdy skryłem się w mojej izdebce, z czasem tylko się nasiliło. Zacząłem podejrzewać, że padłem ofiarą jednej z niestawnych intryg Dworu Mądrości. A jeśli Kalif nigdy nie zezwolił na przekazanie mi klejnotu? Jeśli jakiś rywal ukradł skarb z jego komnat i włożył mi go do ręki?

Strach narastał we mnie z każdym mijającym dniem. W końcu dotarłem do małego miasta Thaj leżącego na północnym brzegu Pól Urodzaju. Chociaż Thaj jest miastem w Al-Kalimie, znajduje się tak daleko od Dworu Mądrości, jak tylko można to sobie wyobrazić, a jego architektura i moda odzwierciedlają ten stan rzeczy. Budynek położone w centrum wzniesione zostały z kamienia ciemniejszego od miękkiego, pustynnego piaskowca. Również ludzie zdają się chłodniejsi w obyciu i dużo mniej skłonni do pomocy strudzonemu wędrowcowi.

Tutejsze potrawy bardziej odzwierciedlają kulturę Północy, a ja od dawna niecierpliwie czekałem na możliwość skosztowania cudzoziemskich przysmaków. Jeśli jednak kleiste i niewyrafinowane potrawy, które jadłem w tym mieście, mają być jakimś wyznacznikiem, to obawiam się, że podczas podróży nie czekają mnie zbyt przyjemne doznania kulinarne.

Wykorzystałem niewielką sumę z sakiewki Kalifa, aby wykupić przejazd z Thaju na północ na pokładzie jednej z długich, wielobarwnych łodzi rzecznych, które płyną po tutejszych wodach. Ostrzegano mnie przed rzeczonym ludem, ale

Jeden z posiłków, które
widziałem w komnatach Kalifa
przed opuszczeniem ojczyzny.
Nigdy nie zobaczyłem w innych
podróżach czegoś równie
wspaniałego, choć często, będąc
głodnym pod koniec długiego
dnia, wyżej cenilem duszo mniej
obfite wczesze.



morskiej Kalifa. Nigdzie też nie topotał na kapryśnym
wietrze sztandar monarchy ani Al-Kalimu. Ludzie mieli
tu zdesperowane spojrzenia; nawet ich radości i wesołości
wydawały się wymuszone i sztuczne.

Na ulicach Al-Qursanuq znaleźć można niemal wszystko,
czego dusza zapagnie – w rozświetlonych sklepach, na
gwarnych i chaotycznych bazarach, a nawet w cieniach
ciemnych zaułków. Jakości tych towarów była
jednak bardzo zróżnicowana. Za nawet
najbardziej podstawowe przedmioty żądano
wygórowanych cen, a choć dostrzegłem też
bizuterię i ozdoby, których nie powstydziliby
się Dwór Mądrości, było ich niewiele.
Większość mieszkańców Zatoki Rzezimieszków
nosiła się tak, jakby zatracili poczucie stylu na rzecz
funkcjonalności.

rychto okazało się, że jeśli tylko uważnie pilnuje się swego
dobytku, mogą być całkiem sympatyczni. Ich muzyka jest
bardziej dzika i nieskrepowana od melodyjnych nut, które
słychać w Dworze Mądrości. Prawdę mówiąc, ich radości
życia podobata mi się bardziej niż postawy innych ludów,
z którymi miałem do czynienia. Na pokładzie łodzi zwanej
Mawja dostałem się do Al Qursanuq – jednego z odkrytych
najgorszą stacją pirackich portów w Zatoce Rzezimieszków.

Jak możecie sobie zapewne wyobrazić, poza rzeczynymi
przewoźnikami, którzy sami siebie nazywają ghajir, ludzie
wybierający się w podróż do tak niestawnego miejsca nie
byli przykładowymi poddanymi Kalifa. Im dalej od Dworu
Mądrości, tym mniej poważany był Syn Słońca.

Al Qursanuq było w istocie siedliskiem wszelkiej maści
piratów, złodziei i totrów. Waham się, czy w ogóle
nazwać to miejsce cywilizowanym, zważywszy na ciągłe
niebezpieczeństwo, które groziło mi, gdy krążyłem po ulicach.
W porcie cumowały liczne smukłe statki. Wiele z nich miało
kolor smoły i czarne żagle – bez jakichkolwiek bander czy
proporców na masztach. Nie widziałem żadnych oznak potęgi

Znalezienie statku o choćby odrobinę legalnym pochodzeniu
okazało się zadaniem bardzo trudnym. W końcu udało
mi się wykupić miejsce na pokładzie Wilczego Wzroku,
którego przedstawiciel twierdził, że jest to statek handlowy
z Lorimoru, upadłego północnego imperium.

Dla kapitana Nazrata było oczywiste, że nie jestem zwykłym
podróżnym, co stawiało mnie na słabej pozycji podczas
negocjowania zapłaty. Jego pazerność złagodziła jednak moje
poczucie winy po tym, jak udało mi się pozbawić go kilku
monet Kalifa szybkim i dobrze zakamuflowanym ruchem dłoni.

W końcu okradać złodzieja to żaden wstyd.

Tak oto znalazłem się na pokładzie tego nieszczęsnego statku
pirackiego i pozostawiłem wygodę i ciepło mej ojczyzny
daleko za sobą. Temperatura spada z każdym dniem,
a powietrze staje się coraz bardziej wilgotne i nieprzyjemne.
Rozmówiwszy się z innymi podróżnymi, zdecydowałem, że
zejdę na ląd w Trelton. Jest to miasto położone na wyspie
w krainie zwanej Torue Albes. Stamtąd udam się do
Terrinoth, gdzie moja misja rozpocznie się naprawdę.



onownie przemierzatem Torue Albes, jak wcześniej zatrzymując się głównie w Treltonie. Szukałem uczonych skłonnych do podzielenia się ze mną wiedzą, na temat magii lub kamieni podobnych do tego, który powinien być zostać w posiadaniu Kalifa. Stojąc w jednej z głównych przystani, patrzyłem na zachód. Choć byłem na morzu już dwukrotnie, wciąż zdumiewało mnie, że w naszym świecie istnieje taka ilość cieczy. Jednak nawet widokiem wody można się znużyć, choć jestem pewien, że zmienię zdanie, gdy następnym razem zagubię się wśród złotych wydm otaczających pałac Kalifa, oby długie lata jego rządów przekroczyły liczbą ziarna piasku na pustyni. Gotów byłem ruszać w dalszą drogę, gdy moją uwagę zwrócił rozlegający się, za mną donośny głos.

Mocno opalony osobnik odziany w szorstkie skóry stał na skrzyni przy drodze, wymachiwał kapeluszem z piórami i wołał do przechodniów. Opowiadał im o bogactwach i przygodach, które wkrótce mogą stać się ich udziałem. Mówił o krainie zwanej Zanaga, gdzie czekały stopy skarbów i cudowne stworzenia. Wszystko to mogło należeć do nich, jeśli tylko zgłoszą się do jego wyprawy na południe. Zbliżyłem się, by dowiedzieć się więcej, ponieważ po raz pierwszy słyszałem o tej okolicy, a wzmianka o skarbie przypomniała mi o moim tajemniczym brzemieniu.

Człowiek ten był wielkim gawędziarzem i oczarował tłum (w tym mnie) opowieściami o wspaniałych bogactwach, jakie można znaleźć w bujnej dżungli. Wypytywał wraz z porannym przypływem i gotów był płacić solidną monetą wszystkim wystarczająco odważnym, by zbliżyć się do jego boku. Gdy dodał, że dzięki wyprawie będą mogli zacząć wszystko od nowa, trudno już było się oderwać. Nie wspominał wprost, że ów nowy początek wiąże się z porzuceniem uciążliwych długów lub zobowiązań rodzinnych, lecz zgromadzeni usłyszeli to dość wyraźnie.

Pojedynczo, a czasem w małych grupach, ludzie z tłumem przychodzili do niego, aby entuzjastycznie zapisać swoje imiona na długim kawałku pergaminu. Złożenie podpisu zobowiązywało ich do stawienia się na statku, a po zakończeniu podróży do określonej liczby lat pracy w tamtym odległym miejscu. Kiedy pergamin się zappełnił, jego mowa zakończyła agitację, rozdał zwerbowanym robotnikom

monety, a następnie wskazał zacumowany w pobliżu statek. Wspominał też, że rano przed wypłynięciem zaproponuje im prosty zakład, dzięki któremu będą mogli podwoić monety. Z pewnością chciał w ten sposób zniechęcić ich do ucieczki z wyptaconą już sumką.

Po wszystkim udał się do tawerny, a ja zaproponowałem, że postawię mu szklanicę czegoś mocniejszego, skoro bez wątpienia zaszczytu mu w gardle. Znaleźliśmy stolik, zamówiłem napitek dla mego nowego przyjaciela, Axdeena, po czym zapytałem go o Zanagę i jej związek z magicznymi kamieniami.

- Nigdy nie widziałem takich kamieni, ale magia? Magii jest tam w bród - odpart - tylko mniej efekciarskiej niż w tych stronach. Po raz pierwszy popłynąłem tam przed laty, namówiony przez innego werbownika. - Pociągnął kolejny tyk z wysokiego kubka.

- Najgorsza była przeprawa - kontynuował. - Trzeba okrzyć Lorimor, a potem skierować się na południe, pomiędzy pustkowie. Jak się za blisko zbliżysz do jednego, pojawiają się olbrzymy z dymu i ostrych zębów skore do zabawy twoim statkiem. Kiedy podpłyniesz do drugiego, niechybnie przekonasz się, czy elfowie są akurat w dobrym nastroju. - Zapłaciłem za następną kolejkę.

- Trzeba się trzymać środka, ale wtedy też nie jest dobrze - westchnął mój rozmówca. - Jak okiem sięgnąć ani ładu, ani innych statków. Człowiekowi zdaje się, że jest sam jak palec, ale wtedy odkrywa, że się mylił. - Ściszył głos, być może po to, by nie przestraszyć nowo zwerbowanych żeglarzy przy sąsiednim stoliku. - Macki większe od naszego masztu walczyły z olbrzymimi rybami o zębach dłuższych od pałaszy. - Zajrzał do kubka. - Nocami widzieliśmy, jak przepływają pod nami stwory... wielkie stwory podświetlone żółto-fioletowymi płomieniami.

Wspominałem moje własne podróże morskie i z dreszczem przerażenia uswiadomiłem sobie, że nigdy się nie zastanawiałem, co może czyhać pod powierzchnią wód.

- To była moja najgorsza przeprawa, a mam ich już na koncie dziesiątki - podsumował. - W końcu udało się przepłynąć Morze Księżycowe i wylądować w Zanadze, konkretnie w Hermanowym Jarze, kiedy był to ledwie początek osady.

Gdy sięgał po kolejną butelkę, zauważyłem, że ma na szyi osobliwy, skórzany naszyjnik. Jego niezwykłość polegała na tym, że nic na nim

nie wisiato. Niemal wszyscy mieszkańcy tych wysp nosili na szyi monete, która przypominała im o wygranej zakładzie, udanej wymianie handlowej lub innym przedsięwzięciu. Kiedy zapytałem o to Axdeena, początkowo nie wydawał się skory do zwierzeń.

Po opróżnieniu butelki okazało się, że po kilku dniach w Zanadze, podczas których jego grupa badała okolice, odkrywała starożytne relikty i polowała na dziwaczne stworzenia z dżungli – młody Axdeen poczuł się, na tyle pewnie, że postanowił wyruszyć w drogę, na własną rękę. Doszedł do wniosku, że oto wybita jego godzina chwaty.

- Byłem głupcem, to jasne – wymamrotał. – Oczywiście od razu się zgubiłem, ale byłem zbyt dumny, by wezwać pomoc. Miałem znaleźć skarb! Złożyć własną osadę! – Zaśmiał się.

Jego opowieści z karczmy nie była tak heroiczna, jak ta wykrzykiwana na ulicy. Gęste zarosła zastaniały mu drogę. Owady gryzły, ptaki wrzeszczały, wszędzie wokół słychać było ruch.

- W końcu wyszedłem na otwarty teren, na wyczekana polane. Ale była martwa. – Axdeen spojrzał na mnie, jakbym potrafił to wyjaśnić. – Brązowa trawa, spróchniałe pniaki. Na ziemi zwierzęta wszelkich rodzajów. Wadęte i rozpeknięte truchta. Cicho było, tylko bzyczenie tysięcy much... Byłem zmęczony, miałem wielką ochotę położyć się i odpocząć. Nie wstawiać przez chwile. Albo wcale.

- Nagle – jego oczy zalsnity z podniecenia – chwyciła mnie wielka, zielona tupa i pociągnęła z powrotem do dżungli! Jej właściciel był tysi, chodził jak człowiek, ale miał jeszcze trzy ręce! Już miałem się na niego zamachnąć, kiedy zobaczyłem na ziemi coś, co wcale nie było martwe. – Wykrzywił się. – Miało wielką paszczę i chciało mnie ukąsić, ale chybiło.

Ledwie obaj zdążyli wrócić do dżungli, gdy na wybauce Axdeena spadło coś, co miało jeszcze więcej kończyn. Axdeen dobył broni, odzyskał siły i zdolał pokonać przeciwnika.

- Okazało się potem, że poczwara była śmiertelnie niebezpieczna. Mogła z łatwością zabić najpierw jego, potem mnie – powiedział. – Nie mogliśmy się porozumieć, ale dałem mu swoją pierwszą monetę. Dodał ją do swojego naszyjnika z zębów, a mnie wręczył to.

Axdeen wyciągnął spod koszuli kolejny naszyjnik z wisiorem przypominającym grubą, złotą żabę.

- To chyba na szczęście – skomentował. – Od tamtego czasu nie miałem ani jednej nieudanej przemywania.

Nowy przyjaciel Axdeena wskazał mu drogę powrotną, po czym się rozstali. Wkrótce ktoś imieniem Annen uratował Axdeena, wycinając listowie przy użyciu szerokiego ostrza.

Axdeen stwierdził, że od tamtej pory widział swojego przyjaciela jeszcze kilka razy, ale tylko wtedy, gdy zapuszczał się do dżungli samotnie. Próbował też znaleźć martwą polane, jednak bez powodzenia.

- Może ją uzdrowić? Albo się przeniosa? Widziałem też inne, one za każdym razem wyglądają na większe. – Axdeen nie ujawnia ich ani czterorekiego przyjaciela w żadnych raportach. – Trzy Czaszki dobrze płaca, ale widziałem, co tam robią z niektórymi rzeczami. Gdyby weszli też w to, sprawy przybrałyby zły obrót. Ale ty i ja zachowamy całą tę historię w tajemnicy, zgoda?

Zapewnię, że tak właśnie będzie, i po raz kolejny odmówiłem udziału w jego wyprawie. Mam jeszcze do zbadania wielkie potacie Torue Albes, zanim pomysle o udaniu się do Zanagi. Jeśli rzeczywiście występuje tam magia, będę zmuszony w końcu odwiedzić dżungle. Tymczasem inni awanturnicy bez wątpienia będą tam mieć przygód i skarbów pod dostatkiem.



Tajemniczy „przyjaciel” Axdeena naszkicowany według jego opisu. Nie jestem pewien, czy chciałbym spotkać kogoś takiego w Zanadze.

© 2023 Edge Studio na licencji Fantasy Flight Games. Genesys i logo Genesys są zastrzeżonymi znakami towarowymi Fantasy Flight Games. Fantasy Flight Games i logo FFG są zastrzeżonymi znakami towarowymi Fantasy Flight Games. App Store jest znakiem towarowym usługi świadczonej przez Apple Inc. Google Play jest znakiem towarowym Google Inc. Opublikowane przez Edge Studio – Asmodee Group, Hills Plaza – Bâtiment B, 8 rue de Vidailhan, 31130 Balma, Francja.

© 2023 Edge Studio under licence of Fantasy Flight Games. Genesys and the Genesys logo are trademarks of Fantasy Flight Games. Fantasy Flight Games and the FFG logo are ® of Fantasy Flight Games. App Store is a service mark of Apple Inc. Google Play is a trademark of Google Inc. Published by Edge Studio – Asmodee Group, Hills Plaza – Bâtiment B, 8 rue de Vidailhan, 31130 Balma, France.